

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura Ungra w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 6 stycznia 1906 r. Nr. 1.

Krwawe dni w Moskwie.

(Treść na stronie 2).

A. Setkowicz

Od Administracyi.

Wszystkich naszych P. T. Abonentów prosimy o łaskawe rychłe nadsyłanie przedpłaty, a to celem uregulowania nakładu wydawnictwa.

Wszyscy nowoprzystępujący Abonenci, którzy nadeślą prenumeratę za cały rok z góry — otrzyma ją gratis początek sensacyjnej powieści p. t.

„BOJOWNICY“

osnutej na tle rozgrywających się obecnie wypadków w Królestwie Polskiem, pióra jednego z najwybitniejszych polskich powieściopisarzy Artura Gruszeckiego, ukrywającego się dotąd pod pseudonimem Jerzego Swobody.

Nowi Abonenci, którzy nadeślą prenumeratę za pół roku z góry — otrzymają początek tej powieści za dopłatą 1 kor. (50 kop.) Nowoprzystępujący zaś Abonenci, którzy nadeślą kwartalną prenumeratę, otrzymają początek tej powieści za dopłatą 1 kor. 50 hal. (75 kop.) Prenumeratorom w Królestwie Polskiem, zwracamy uwagę, że prenumeratę na pismo nasze przyjmują biura Ungra w Warszawie ul. Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78. oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie, jak i na prowincyi.

OD REDAKCYI.

Numerem; jaki dzisiaj oddajemy w ręce Szan. Czytelników, rozpoczynamy trzeci rok wydawnictwa „Nowości ilustrowanych“. Dwa lata istnienia, to kawał czasu, który pozwala wyrobić sobie zdanie o celu i zasługach naszego pisma. Nie potrzebujemy tracić na próżno słów, nie potrzebujemy rozpisywać się o tem, cośmy zrobili — pismo nasze mówi samo za siebie. Wspomniemy tylko, że zdołaliśmy już wyrugować z naszego kraju podobne, wrogie nam pisma niemieckie, że dotarliśmy nawet tam, dokąd zazwyczaj tak mało pism, zwłaszcza poważniejszych dociera — na wieś.

Staraliśmy się, o ile to było w naszej mocy, uczynić pismo nasze najbardziej wszechstronnem, stworzyć zeń aktualną kronikę ilustrowaną, w którejby czytelnik znalazł odbicie chwili bieżącej dokładne i zajmujące, przyczem szczególniejszą uwagę zwracaliśmy zawsze na sprawy najbardziej nas Polaków, obchodzące. Haslem naszem było: niecić w duszach zapał, poczucie siły i chęć czynu, służyć Ojczyźnie, ludzkości i kulturze, nie schlebiając żadnej partyi, żadnej klice, żadnej koteryi. Staliśmy zawsze na stanowisku bezstronnem, pozostawiając Czytelnikom wyrabianie sobie sądów o wypadkach, jakieśmy w słowie i obrazie podawali. Każdy numer „Nowości ilustrowanych“ jest najlepszem słów powyższych stwierdzeniem, a niebywałe poparcie naszego pisma wśród społeczeństwa, ogromna popularność, jaką sobie zdobyliśmy, każą nam przypuszczać, że byliśmy potrzebni i pożądani, że uznanie jakie nas ze strony Czytelników spotyka, jest najlepszym dowodem, iż cel nasz był dobry i znalazł oddźwięk w całem społeczeństwie.

Trzeci rok wydawnictwa rozpoczynamy w nadziei, że pismo nasze jeszcze bardziej się rozpowszechni, że zyska sobie jeszcze większe uznanie i poparcie ze strony społeczeństwa. My ze swej strony możemy naszych Czytelników zapewnić, że dołożymy wszelkich starań, że wytężymy wszelkie siły, aby pismo nasze coraz więcej ulepszać, udoskonalać. Pragnieniem naszem jest stać się pismem, którego nie powinno brakować w żadnym domu polskim, któreby było miłym i pożądanym gościem w każdej polskiej rodzinie. Celem naszym jest jak najdokładniejsze zobrazowanie współczesnej chwili, ze szczególnem uwzględnieniem spraw polskich i do polskiej sprawy się odnoszących, oraz budzenie słowem i obrazem uświadomienia narodowego na każdym kroku.

Aby cel ten osiągnąć, zaangażowaliśmy do współwydawnictwa szereg wybitnych sił literackich i artystycznych, pozyskaliśmy we wszystkich trzech stolicach, Warszawie, Krakowie i Poznaniu korespondentów — co pozwala nam mieć nadzieję, że nie zawiedziemy zaufania, jakie społeczeństwo ma do nas. W najbliższym czasie rozszerzymy dział powieściowy i literacki, do którego prowadzenia zjednaliśmy sobie wybitnych przedstawicieli dzisiejszej literatury. W miarę sił rozszerzać również będziemy dział ilustracyjny, dążąc ciągle do tego, aby „Nowości ilustrowane“ stały się wiernem i prawdziwem odbiciem życia społecznego i narodowego we wszelkich jego przejawach. To jest naszym celem, do którego wytrwale dążyć będziemy.

Ze względu, że pismo nasze uzyskało debit w Królestwie Polskiem, zajmiemy się w tym roku szczególnie sprawami tej części Polski. Rzeczy, jakie się obecnie w Królestwie Polskiem dokonują, mają dla naszego życia narodowego niesłychane znaczenie, wprowadzając więc rozszerzenie działu ilustracyjnego, poświęconego specyalnie sprawom Królestwa Polskiego, odpowiemy w zupełności, jak nam się zdaje życzeniom naszych Czytelników.

Ufni, że służymy dobrej sprawie, rozpoczynamy trzeci rok istnienia wydawnictwa „Nowości ilustrowanych“ w nadziei, że polskie społeczeństwo oceniając doniosłość naszej pracy — poprze nas i dopomoże w rozszerzaniu naszego pisma, a rugowaniu od nas zbyt już zakorzenionych różnych niemieckich wrogich nam Polakom *Blattów*

Redakcya.



Zaręczyny Alicyi Roosevelt. Alicya Roosevelt, córka prezydenta Stanów Zjednoczonych.
(Artykuł na stronie 12).

Krwawe dni w Moskwie.

(Do ilustracyi tytułowej).

W chwili, kiedy cały świat katolicki obchodził uroczyście rocznicę narodzin Chrystusa, kiedy nad całą ludnością zdawał się unosić radosny głos, jaki się ongi, przed wiekami dał słyszeć pasterzom, czuwającym około betleemskiej stajenki głos aniołów „Pokój ludziom dobrej woli“ — kiedy w noc Bożego narodzenia słyszeć się dała z niebios na znękaną bólem ludzkość cicha błogość ukojenia, jaką boża dziecina z sobą na świat przyniosła — w chwili tej na północy Europy, w białokamiennym grodzie Rosyi ozwały się armaty, trzask karabinów, a pod niebo wzniosły się błaganiem opary krwi tysięcy męczenników, którzy na ulicach Moskwy życie swe wówczas krwawej bogini wolności złożyli w ofierze. Jak zgrzyt żelaza po szkle wieść o rewolucyi w Moskwie przebiegła cały świat, mącąc uroczystość nastroju świątecznego, drżeniem przejmując wszystkich, którzy w ten dzień w serdecznych modłach prosili Boga o „pokój na ziemi“. Bo w Moskwie rozszalała się w ten dzień rewolucya, a rozszalała się z siłą żywiołową, porywając do walki całą ludność tej stolicy Rosyi. Nie była to już rebelia pewnych stanów, pewnych warstw społecznych, to już była rewolucya jawna, otwarta, powszechna.

Jeszcze w niedzielę, w wigilię święta Bożego Narodzenia, to znaczy w dzień wybuchu rewolucyi pojawiły się na ulicach Moskwy barykady. W poniedziałek całe dwie dzielnice Arbatska i Priesnia były już całkowicie zabarykadowane, także jak pryncypalne ulice Sadowa, otaczająca całe miasto półkolem, Dołgorukowska, Piotnicka, bulwar Kwiatny i inne. Budowa tych barykad była tak doskonałą, że przedostać się przez nie można było, tylko czworakach. Do budowy ich użyto po większej części wozów tramwajowych, słupów telegraficznych i szyn tramwajowych. Wszystkie barykady p... czone były kolczatą siecią, kilkanaście z ... było otoczonych fosą. Na barykadach stały pik... rewolucyjne z czerwonymi sztandarami, uzbro... w doskonałe gwintówki. Na bulwarach wyrąb... ... drzew, potrzebnych do budowy baryk... kt... powstawały z szaloną wprost szybkości... jedn... po drugiej ... u wojskowych te... po... ... i ta mnogość rąk do budowy uż... wielki wzbudziły podziw.

...kady te b... pewnego rodzaju fortecami rew...yonistów. ...nich też rozgorzała szalona walka rewolucyonistów z wojskiem, które wytoczyło na ulicę armaty i ogniem prażyło walczących. Krew lała się strumieniami zginęło kilka tysięcy rewolucyonistów i kilkuset żołnierzy w czasie stosunkowo krótkim, bo w dwóch dniach. Nie było ulicy, na którejby rewolucyoniści nie stoczyli zaciętej walki z wojskiem, a z początku lud zwyciężał. Przekonawszy się, że walka na wielkich i szerokich ulicach mnóstwo pożera ofiar, a małe stosunkowo przynosi korzyści, rewolucyoniści zajęli małe, wąskie i kręte uliczki, gdzie ogień dział nie mógł być tak skuteczny. Te



Zaręczyny Alicyi Roosevelt. Mi... narzec...

uliczki właśnie stały się terenem najstraszliwszych walk, spłynęły poprostu krwią. Przebieg rewolucyi znany jest zresztą Czytelnikom z opisów w dziennikach; nie będziemy go więc tutaj powtarzali. W dzień św. Szczepana rewolucyoniści na kilku punktach wspaniałe odnieśli zwycięstwo. Udało im się zdobyć na wojsku nawet armatę, którą następnie zwrócili przeciw wojsku, na ich stłumienie wysłanemu.

* * *

Ilustracya zamieszczona na tytułowej stronie dzisiejszego numeru przedstawia jedną z barykad w Moskwie w czasie walk w dzień św. Szczepana. Wśród wozów i słupów widać zdobytą na wojsku armatę, a obok kilku jeszcze walczących.

Pieszo naokoło świata.

W dawnych czasach, kiedy ludzie nie mieli na swoje usługi ani kolei żelaznych, ani też innych środków lokomocyi z wyjątkiem zwierząt, jak koni, wołów, mułów i wielbłądów, długie podróże należały do rzeczy zwyczajnych. Dzisiaj jednakże, kiedy za bezcen prawie możemy w kilku godzinach przebywać czy to koleją, czy automobilem kilkudziesięciomilowe przestrzenie, każda dłuższa podróż piesza obudza podziw i zajmuje swą oryginalnością. Myśmy dzisiaj, wobec takich ulepszeń i udoskonaleń w dziedzinie lokomocyi, zleniwieli i nie lubimy poprostu podróżować, chociaż dokładnie zdajemy sobie sprawę z tego, jakich przyjemności i jak podniosłych wrażeń dostarcza podróż piesza. Mimo to jednak nie brak dzisiaj duchów awanturniczych, które przedsiębiorą kolosalne podróże piechotą. Co więcej, dzisiaj ludzie wybierają się nieraz dla marnego zakładu w drogę bez grosza w kieszeni i tak wędrują przez cały świat. Naturalnie taka podróż musi jeszcze bardziej obfitować w rozmaitość wrażeń, ale amatorów takich awanturniczych przyjemności jest mało i możnaby ich na palcach policzyć.

W ubiegłym tygodniu przybył do Stanisławowa jeden z takich „wędrowców bez grosza w kieszeni“. Był nim niejaki Bela Fibinger.

P. Fibinger, rodem z Budapesztu, jest człowiekiem stosunkowo bardzo młodym, liczy bowiem zaledwie lat 21 i jest słuchaczem techniki w Budapeszcie. Założył się z pewnym księciem węgierskim o 60.000 koron, że bez grosza obejdzie piechotą cały świat i podróż swą rozpoczął 16 grudnia 1904 roku.

Wyszedłszy z Budapesztu zdążał p. Fibinger ku Wiedniowi, skąd udał się do Berlina, Hamburga, Karlsruhe, dotarł wreszcie do Szwajcaryi, przeszedł Francyę, Włochy, północną Grecyę i przybył do Małej Azyi. Tam przyłączyło się doń kilku towarzyszy, z których jeden Karol Mayer w czasie podróży zmarł na cholerę. Z Azyi powędrował p. Fibinger do Afryki, przeszedł szczęśliwie Sacharę i wraz z dwoma towarzyszami przybył do Tunisu. Tu o mało życia nie postradał. W podróży napadli go Beduini i jednego z jego towarzyszy zabili, jego zaś samego ciężko zranili w głowę. Przypadkowo przejeżdżająca karawana angielska uchroniła go od niechybnej śmierci i odwiozła do Tunisu, gdzie leczył się przez dwa miesiące. W myśl zakładu jako ranny nie miał obowiązku zapuszczać się w głąb Afryki, udał się więc na Sycylię, potem do Włoch, skąd z powodu braku środków do życia powrócił do Budapesztu, gdzie jakiś czas odpoczął, aby nabrać sił do dalszej drogi, którą też przed kilku tygodniami rozpoczął, i w ostatnich dniach grudnia dotarł do Stanisławowa, w drodze do Rosyi, Syberyi, Korei, Japonii i Australii.

W każdej miejscowości, do której przybywa, zgłasza się p. Fibinger u przełożonej władzy, która stwierdza w osobnej książce, jaką śmiały podróżnik ze sobą nosi, że w tej miejscowości był i dokąd się udaje.

Strój, w jakim p. Fibinger przedsięwziął awanturniczą swoją podróż, można najlepiej poznać na załączonej fotografii. Pakunek jaki dźwiga ze sobą, ważył dawniej 50 klg., dziś waży tylko 16 klg. i zawiera same najniezbędniejsze w podróży zapasy i środki. Główne źródło jego utrzymania stanowi sprzedaż kart korespondencyjnych z jego fotografią.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię, przedstawiającą p. Fibingera w stroju podróżnym. Fotografię tę zdjął w Stanisławowie, gdy Fibinger bawił w tem mieście, inżynier kolejowy p. Henryk Schall.



Pieszo naokoło świata: Bela Fibinger, podróżujący pieszo i bez pieniędzy naokoło świata.

Echa rzezi żydów w Rosyi.

Naród żydowski, od tylu wieków zdany na tułaczkę, nie posiadający tego, co dla człowieka jest najdroższem, ojczyzny i języka, utrzymał się jednak dotąd i przetrwał mimo tylu burz, jakie nań przez wieki spadały. Łącznikiem tym, który sprawił, że żydzi, rozprószeni dzisiaj po całym świecie, zawsze jeszcze są narodem i to narodem żywym, jest przedewszystkiem wiara i niesłychana solidarność. Niema poprostu społeczeństwa na świecie, któreby mogło się poszczycić taką solidarnością, taką świadomością i zrozumieniem maksymy: „Jedność to potęga“ — jak naród żydowski.

Najlepszym tego dowodem są najrozmaitsze instytucye, mające za zadanie skupienie wszystkich Żydów, a czego dowód mieliśmy niedawno w Nowym Jorku w Ameryce.

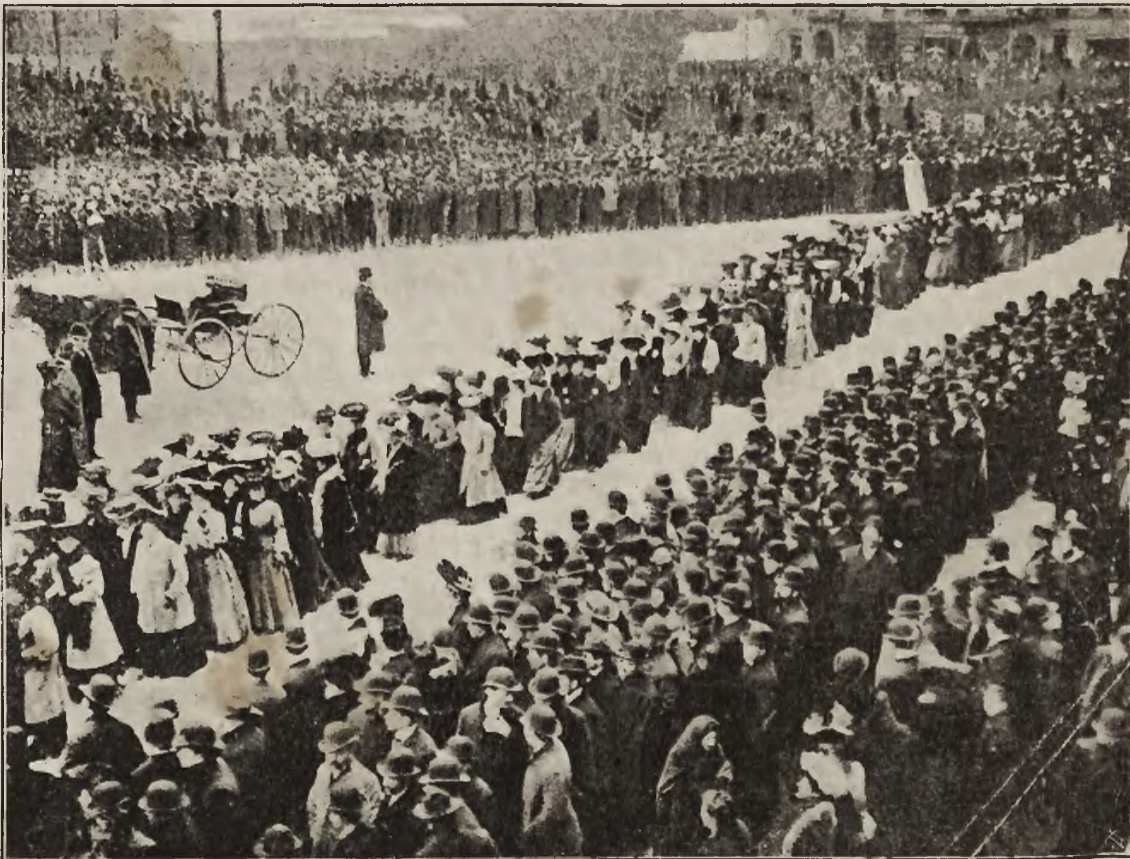
Jak o tem kilkakrotnie w naszym piśmie wspominaliśmy, w historyi żydów krwawemi zgłoskami zapisał się szczególnie miesiąc listopad 1905 roku. W tym to bowiem miesiącu miały miejsce w Rosyi niesłychane, ohydne rzezie żydów. Ulice Odessy, Symferopola, Kazania, Kijowa i tylu innych miast broczyły poprostu krwią żydowską. „Czarne sotnie“, ta największa hańba w dziejach odradzającej się Rosyi, zawisły niby groźny miecz Attyli nad narodem żydowskim, a raczej nad tą jego cząstką, która wskutek zarządzenia losu znajdowała się pod panowaniem rosyjskiem. Chuligani całą wściekłość bezkarnością podjudzonych krwiożerczych instynktów, zwrócili przeciw Żydom, mszcząc się na nich, jako na żywiołach rewolucyjnych. W jednym tym miesiącu wymordowano w Rosyi kilkanaście tysięcy Żydów, których mienie poprzednio zrabowano lub zniszczono. Kto nie padł ofiarą rąk „czarnych sotni“, ten sam sobie życie odebrał, bo cóż mu było po życiu, kiedy doń jeno kij żebraczy pozostał. Można z Żydami nie sympatyzować, można ich nawet nienawidzieć, ale nie można się oprzeć uczuciu litości, jakie w każdym szlachetnem sercu ozwać się musiało na wieść o ich mordowaniu. Wszakżeż to także ludzie, także nieszczęśliwi.

Trzeba też zauważyć, że Żydzi w ogólnym ruchu rewolucyjnym w Rosyi również nie małą odegrali rolę. Oni to we wszystkich prawie większych miastach rosyjskich byli jeszcze tem bardziej radykalnymi. Uciskani przez rząd, na każdym kroku prześladowani i wyzuci z prymitywnych nawet praw obywatelskich, wzięli w walce o prawa człowieka tłumny udział. Padło ich setki w walkach ulicznych z wojskiem, setki gnije do dziś dnia w więzieniach.

Żydzi połączyli się odrazu z żywiołami rewolucyjnymi i w walkach z przemocą krew przelewali własną na równi z Rosyanami i innymi narodowościami. W rzędzie bezimiennych bohaterów, po których trupach posuwała się naprzód zwycięska rewolucya, znajduje się również pokaźna liczba Żydów. Nic dziwnego, że wieść o rzeziach, jakie miały miejsce w Rosyi, o rzeziach Żydów, także w całym świecie wywarła wrażenie.

Dnia 23 grudnia obchodzili Żydzi mieszkający w północnej Ameryce, uroczyście pamięć braci pomordowanych w czasie rzezi Żydów w Rosyi. Miejscem uroczystości był Nowy Jork, w którym tego dnia zebrało się około 100 000 Żydów. Urządzono kilkanaście zgromadzeń, na których omawiano rzezie w Rosyi, koło południa zaś ruszył głównymi ulicami wspaniały pochód z żałobnymi sztandarami, cichy, milczący grobowy, a jednak tak wiele mówiący. Była to olbrzymia demonstracya na cześć ofiar krwawych narodzin konstytucyi w Rosyi.

Zamieszczone obok zdjęcie fotograficzne przedstawia widok tego demonstracyjnego pochodu Żydów amerykańskich na jednej z głównych ulic Nowego Jorku.



Echa rzezi żydów w Rosyi: Demonstracyjny pochód żydów nowojorskich ku czci pomordowanych w listopadzie w miastach rosyjskich współwierców.

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem,

NAPISAŁ

ARTUR GRUSZECKI.

32 (Ciąg dalszy).

Olga zmusiła się do powagi, gdyż właśnie jutro, w piątek, zacznie się ekspedycya drugiego numeru. I co wówczas powie Bolcew, generał-gubernator i inni? Znów będzie tajny dokument o „Oświacie“ i w następnych nie zabraknie sekretnych okólników.

— Nie będąc tak dawno u państwa — zaczął rotmistrz, gładząc wąsy po winie — byłem niespokojny o zdrowie pani, panno Olgo, ale zapewnił mnie rotmistrz Lednoj, że pani zdrowa i jak zawsze piękna... Nie spotkała go pani?

— Może, nie pamiętam.

— O, Olga teraz bardzo często wychodzi — wmięszała się ciotka. — Ale może przejdziemy do salonu na kawę, tam więcej powietrza.

Gdy usiedli przy małym, bocznym stoliku i Jan roznosił kawę, rzekł gość:

— Więc pani teraz często wychodzi? — patrzał badawczo na Olgę.

— Często — odp wiedziała chmurna.

— Przyszła fantazya Oldze — uśmiechnęła się pani — należenia do rozmaitych towarzystw dobroczynnych i bywa często na posiedzeniach komitetów.

— Czy wolno wiedzieć jakich? — spytał z niewinną miną, gdyż dawniej już powiedziała mu o tem Sudkiewiczowa, a on postarał się o wiadomości szczegółowe i wprawdzie Olga była zapisana do towarzystw, ale nikt jej nie widział na posiedzeniach.

— Jeśli to ma być indagacyą — zaśmiała się Olga swobodnie — to nie odpowiem, bo lewica nie powinna wiedzieć, co daje prawica.

— Bardzo słusznie, Olgo — śmiała się pani — trzeba raz nauczyć mężczyzn, że i kobiety mają prawo do zupełnej swobody. A czy wy, panowie, zwierzacie się nam z waszych sprawek?

— Wiecie, rotmistrzu — odezwał się Sudkiewicz, kończąc kawę — z początku czuwałem i śledziłem moją żonę, ale po pewnym czasie przekonałem się, że kobiety bawi tajemniczość, robienie sekretu z byle jakiego głupstwa i że umyślnie to robią, aby nas drażnić, podniecać... ot, bawią się w ślepą babkę. Jestem za poważny na takie rzeczy i dałem spokój.

— Ja przeciwnie — uśmiechnął się rotmistrz — zawsze wierzę i ufam, nigdy nie podejrzywam, nie śledzę, bo to ubliża i kobiecie, którą kocham i mnie, a jeśli pytam, to przez zwykłe zainteresowanie się, czy miłe było spotkanie, czy dobrze się bawiła... o nic więcej mi nie idzie.

— Z pana będzie doskonały mąż — zaśmiała się pani — byle pan nie był zbyt ciekawy.

— Pójdę do siebie na cygaro — wstał Sudkiewicz — bo żona nie znosi tego dymu.

— Idź, idź — powiedziała — nie mogę go odzwyczaić od drzemki poobiedniej, a szkodzi mu.

— Czyż tak? — udał zainteresowanie.

— On ma skłonność do tycia, a sen poobiedni przyczynia się do tego — westchnęła.

— Jak sam pozna, co mu grozi, przestanie sypiać — pocieszył ją rotmistrz.

— A gdzie, ciociu, gazeta?

— Zostawiłam na stoliczku, pod oknem, w jadalnym pokoju

— Przyniosę ją — powiedziała Olga i wyszła ze salonu.

— Proszę szanownej pani — zniżył głos Bolcew — pani zna stan moich uczuć względem panny Olgi, czy mogę mieć nadzieję pozyskania jej wzajemności?

— Nic nie wiem na razie, ale wyjeżdżamy obie na wyspę Wight, tam łatwo dojdę i zrozumiem jej serce.

— Więc panie wyjeżdżają?

— Tak jest. Kąpiele morskie są potrzebne Oldze i mnie, a w tej Warszawie tak duszno, że Olga, jak mi się przyznała, ucieka często za miasto, byle trochę odetchnąć.

— I kiedyż wyjazd?

— Jeśli jutro krawcowa skończy poprawki sukien, a Herse za dziesięć dni, jak obiecał, zrobi nam płaszczyki podróżne, możemy wyjechać za dwa tygodnie.

— Kiedyż panie idą do miary?

— Do krawcowej jutro o jedenastej, ale cóż to pana tak interesuje? — zaśmiała się.

— Wszystko mnie interesuje, co dotyczy pań... i w imię przyjaźni i szacunku, jaki mam dla pani, pozwoliłbym sobie zwrócić uwagę... o ile pani naturalnie pozwoli na to.

— Ależ proszę.. mów pan.

— Panna Olga, zdaje mi się, posiada, jak na pannę, za wiele swobody... wychodzi, przychodzi, nikt nie wie, gdzie, po co, na co...

— Nikt prócz mnie — powiedziała surowo.

— Już się pani gniewa — ucałował jej rękę — ależ ja nie podejrzywam panny Olgi, niech Bóg broni, ale tak jak dziecka musi pilnować piastunka, tak i pannę w pewnym wieku trzeba powstrzymywać, chronić, oszczędzać...

— O cóż panu idzie?

— Widziano pannę Olgę w towarzystwie jednej kobiety i dwóch młodych ludzi. Prócz panny Olgi, tamci wyglądali na ludzi niższej sfery, coś takiego z biur czy ze sklepów. To przecież nie jest towarzystwo dla niej. Jej miejsce pomiędzy arystokracyą.. Przypuszczam, że ona przez ciekawość, dla zabawy i rozrywki niewinnej zniża się do innych ludzi, ale już samo zetknięcie może ją zabrudzić, splamić...

Rotmistrz wiedział dobrze, w który ton uderzyć, aby poruszyć panią Sudkiewicz. Według jej mniemania, należała ona, dzięki szlacheckiemu urodzeniu i stanowisku męża, do pierwszej arystokracyi w Warszawie. Jeśli przyjmowała u siebie, to ludzi ze stanowiskiem, bogatych, a z młodych jedynie gwardyę, ułanów i huzarów. I zabolało ją, że jej siostrzenica zawiera znajomości ze światem niższym, to kompromitowało do pewnego stopnia jej stanowisko i jej dom. Ściągnęła brwi gniewnie, zagryzła małe usteczka i szepnęła:

— Dziękuję panu... zapobiegnę tym niewłaściwym znajomościom.

Weszła Olga z gazetą w ręku.

— Czy czytała pani? — spytał z ujmującym uśmiechem.

— Tak jest.

— I co? Podobała się pani?

— Stając na ich punkcie widzenia, podobała mi się bardzo.

— To znaczy, gdyby pani była socyalistką — uśmiechnął się ironicznie.

— Niekoniecznie socyalistką, ale jako człowiekowi wolnemu, podoba mi się głoszenie przekonań swoich własnych, otwarcie i szczerze.

— Z za płotu — zaśmiał się — bo nikt nie zna autora, ani wydawcy.

— Gdyby się przyznali, poszliby prawdopodobnie do więzienia.

— Nawet napewno, proszę pani.

— Więc muszą robić to skrycie, jeśli chcą, jak pan mówił, zyskać zwolenników, bo trudno w cytadeli wydawać dziennik „Wolność“.

— Radzę pan jako przyjaciel — rzekł poważnie — nie stawać tak gorąco w ich obronie. Gdyby kto inny posłyszał, nie ja sam, mogłaby pani dostać się pod dozór tajny.

— Za samą sympatyę?

— Od sympatyi platonicznej do czynnej jest tylko jeden krok. I dobrze, że pani jedzie do Anglii... podróże zawsze oddziaływują korzystnie.

— I odzwyczajają od niewłaściwych towarzystw — dodała ciotka z wymówką i surowym wzrokiem.

Już coś widział i powiedział — pomyślała Olga, trzeba natychmiast się dowiedzieć, aby zapobiedz niebezpiecznym odkryciom. Udała wielkie zdziwienie:

— Ja, w towarzystwie?... Mogę na palcach policzyć, kiedy byłam w liczniejszem towarzystwie.

— Przypomnij tylko sobie, dwóch młodych i jakaś podejrzana kobieta.

— A to doskonałe! — śmiała się — już wiem. Ta podejrzana kobieta będzie jutro lub pojutrze u mnie i będę miała zaszczyt przedstawić ją cioci. To moja koleżanka z uniwersytetu, która przygotowuje się do doktoratu, bardzo miła, rozumna, ale z powodu nauki zaniedbuje się w modzie. Jeden pan, to jej narzeczony, a drugi przejezdny student z Charkowa czy Kazania, pojechał do Berlina na dalsze studya. Czy to niewłaściwe dla mnie towarzystwo? Wolę przecież ich od, dajmy na to, pana Płazowa, którego jedyną zaletą jest mundur i sądzi, że powinnam być szczęśliwą i dumną, że on raczy okazywać mi swoje względy.

— Oj, to, to — uśmiechnął się rotmistrz, zacierając ręce — pani powiedziała świętą prawdę. I on bywa u państwa?

— Od czasu do czasu — powiedziała niedbale pani.

— Ale i towarzyszy nam, jak tylko nas spotka. Zaraz zakłada monokl i patrzy impetynencko, omal że nie zawoła głośno: patrzcie, jaki ja piękny!

— Świetnie! Znakomicie! — cieszył się rotmistrz z porażki rywala — więc pani woli uczonych, studentów od oficerów.

— Tego nie mówię. Przeciwnie nawet, bo znam bardzo miłych i dobrze wychowanych oficerów, czego nie można zawsze powiedzieć o studentach.

Rotmistrz rósł jak na drożdżach, promieniała twarz jego, bo jeśli Olga zna takiego oficera, to tylko on może nim być, ale nie wypadało pytać o to przez samą skromność.

I ciotkę również rozbroiło tłómaczenie Olgi i zabawiła krytyka Płazowa, który pozwalał sobie na aluzye o ułanach, w których służył Lednoj. Słysząc pochwałę oficerów przez Olgę, miała na myśli rotmistrza Lednoj i w duszy była jej za to wdzięczną, gdyż ta pochwała usprawiedliwiała jej słabość do rotmistrza. Chciała jednak posłyszeć jego nazwisko i już bardzo łaskawie i z miłym uśmiechem zwróciła się do Olgi:

— Czy mówisz o znajomych oficerach petersburskich?

— Nie, ciociu, miałam na myśli tutejszych... nie szukając daleko taki rotmistrz Lednoj, jaki to wytworny i miły gentleman — a spostrzegłszy chmurną minę Bolcewa — lecz nie on jeden, znam również innych

— I którzy, Oleczko? — spytała rozpromieniona ciotka.

— To już moja tajemnica — zaśmiała się — innych nie wymienię.

Rotmistrz poczerwieniał z radości, bo teraz tylko o nim mogła mówić i przez wstydliwość nie powiedziała mu tego w oczy. Podkręcił wąsa i spojrzał porozumiewawczo na Sudkiewiczową.

— Panie rotmistrzu, teraz pan widzi, jaka ta Oldzia i każde podejrzenie względem niej rozwiewa się jak dym.

— Czyż pan mnie kiedy o co podejrzywał? — udała wielkie zdziwienie.

— Ależ ciocia żartuje — zawołał z wielką żywością — gdzieżbym ja śmiał?

W duszy klął Sudkiewiczową i postanowił nigdy z niczem nie zwierzać się jej, ona go kompromituje i naraża do niego Olgę, zamiast pomagać, szkodzi.

Spostrzegła ciotka swą niezręczność a chcąc naprawić:

— Pan rotmistrz przypuszczał, że Płazow może ci się podobał, mówił mi o tem i to miałam na myśli, wspominając o podejrzeniach.

— Nie sądziłem, że pan ma tak liche wyobrażenie o moim guście — udała, że uwierzyła ciotce.

— Bywa tak, proszę pani, że człowiek z zazdrości głupieje — śmiał się.

Dosyć tego, osądziła Olga, bo gotów mi mówić o miłości, nie namyślając się więc długo, dodała:

— Wojna bierze jednak niekorzystny obrót. Kuropatkin się cofa, Port Artura oblężony i co będzie?

— Łatwo przewidzieć — uśmiechnął się — Portu Artura nie ugryzą, to twierdza jakiej drugiej niema na świecie. Na prostopadłych skałach niomal na szczytach, jest cały szereg fortyfikacyi, to nie na siły Japończyków wziąć taką twierdzę.

— Ale zmusić głodem, brakiem amunicyi, a głoszą, że tak jest.

— Wyczytała pani we „Wolności“ — uśmiechnął się lekceważąco — a my wiemy, że na cały rok starczy i żywności i amunicyi. Zresztą, Stoessel dał słowo oficerskie, że raczej wszystko wysadzi w powietrze, aniżeli odda siebie i jedno działo, a oficerskie słowo, to nie wiatr. Co do wojny lądowej, zobaczymy co będzie pod Liaojanem. Dotychczas były drobne utarczki, a teraz nastąpi bitwa. I wie pani, Japończycy, jak donoszą z Petersburga, już przygotowują statki, aby móc uciec do Japonii po niezawodnym pogromie.

— Dajcież spokój tej polityce — mówiła gospodyni niechętnie — i co ciebie, Olgo, to tak bardzo interesuje? Nie masz tam ani męża, ani narzeczonego. Rosya, jak zawsze, zwycięży, a że są wahania wojny, to rzecz naturalna. Mówmy o czemś bardziej zajmującem... Czy był pan na ostatnim koncercie w Dolinie Szwajcarskiej?

I rozmowa przeszła na ton zwykłej, towarzyskiej, banalnej pogawędki.

Gdy obie panie wyszły nazajutrz o godzinie jedenastej rano do krawcowej, spotkały niedaleko domu rotmistrza Bolcewa, który po przywitaniu, wbrew zwyczajowi, szedł obok Olgi, a nie przy Sudkiewiczowej.

Rozmawiano o pogodzie, modach, o spotkanych osobach.

Olga, którą nudziła ta rozmowa, rozglądała się po ulicy i spostrzegła jakiegoś, dość skromnie ubranego pana, który natarczywie w nią się wpatrywał, a gdy spojrzała mu w oczy, jakoby się zmięszał, spuścił głowę i przeszedł mimo, nie podnosząc oczu. Na nagły hałas uliczny, Olga się odwróciła i znów ujrzała tego samego pana, wpatrującego się w nią. Zdziwiła ją ta natarczywość niepozornie wyglądającego człowieka, ale wkrótce nastąpiły inne wrażenia i pierwsze się zatarło.

Po obiedzie Olga wybrała się do drukarni, dziś bowiem miała się odbyć ekspedycya drugiego numeru, a wczoraj z powodu wizyty Bolcewa i ciągłej obecności ciotki zawsze gotowej jej towarzyszyć, nie mogła wyjść.

Na Krakowskiem Przedmieściu, przy którem mieszkała, zwróciła się w kierunku Zamku, umyśliła bowiem dostać się do drukarni przez Miodową, Kapitulną, Podwalem ku Celnej. Właśnie miała przejść Senatorską, by dostać się na Miodową, gdy zatrzymana przez dorożki, wyjeżdżające z Koziej, przystanęła i mimowolnie się obróciła.

O jakie dziesięć kroków za sobą spostrzegła mężczyznę, który patrzał jak jej się zdawało, wprost na nią.

Twarz jego wydała się Oldze znajomą, ale na razie nie mogła sobie przypomnieć; już stanęła na rogu Miodowej, gdy nagle nasunął się jej obraz dzisiejszego Bolcewa i uporczywe oczy nieznajomego. Nieznacznie, stanąwszy przed wystawą sklepową, obejrzała bardzo starannie tego pana, zajętego w tej chwili jakby liczeniem dorożek i nie wątpiła, że to ta sama osobistość.

Celem przekonania się, weszła do sklepu na Senatorskiej ulicy i dość długo wybierała notesy i ołówki.

Wyszła, zdawało się jej, że ten pan już znikł, lecz gdy skręcała na Miodową, spostrzegła go na przeciwległym chodniku na Senatorskiej, przyglądającego się wystawie.

Teraz była pewną, że jest szpiegowaną i że miły pan Bolcew rozciąga nad nią czułą opiekę.

Co jednak robić? Iść do drukarni niepodobna, wrócić się i nie widzieć Bolka, nie mieć numeru, za wielka ofiara, postanowiła spróbować szczęścia. Na Miodowej znała kamienicę przechodnią na Podwale, która od Miodowej miała cukiernię, a od Podwala skład narzędzi rolniczych. Przyspieszając kroku, weszła szybko w sień przechodniej kamienicy, a wiedząc, że po prawej stronie są boczne drzwi cukierni, szybko je otworzyła i usiadła w głębi pokoju, w miejscu, z którego mogła widzieć część podwórza komunikującą z Podwalem i uważać na osoby wchodzące przez sklep frontowy do pokoju, w którym siedziała.

Zasłonięta gazetą pilnie uważała. Najpierw dojrzała tą samą osobistość, idącą szybko w podwórze, lecz natychmiast wróciła się i po jakimś czasie weszła ona do cukierni, przejrzała pokoje, chwilkę patrzała na Olgę, przed którą przypadkowo stała szklanka pusta po poprzednim gościu i wyszła na ulicę.

Olga zwolna się podniosła, przeszła do frontowego pokoju i wybierając ciastka, spojrzała na ulicę Miodową.

Naprzeciw cukierni stał ten sam jegomość w zniszczonym meloniku, z nastroszonemi blond wąsami, ubrany w garnitur tużurkowy, z jasną laską w ręku, którą często zakładał w tył i ciągnął za sobą, robiąc kilka kroków.

Olga zjadła ciastko, przyjrzała się dokładnie temu panu i wróciła na swe miejsce. Obliczyła, jak się zdawało, dobrze, że wyszedłszy bocznemi drzwiami, jeśli natrafi na chwilę, gdy on minie sień widną, bo na przestrzał idącą, ona skręci natychmiast na prawo i przekradając się tuż przy rozstawionych narzędziach rolniczych, dopadnie bramy od Podwala i ujdzie pościgu.

Tak też zrobiła i przyszedłszy na Podwale, skręciła na lewo ku Piekarskiej, lecz zanim weszła na nią, wstąpiła do sklepu galanteryjnego i zaczęła targować się.

Nie dostrzegła prześladowcy, ani będąc w sklepie, ani wyszedłszy z niego. Stawała kilkakrotnie, chowając się za narożniki ulic i Rynku, ale nie dojrzała szpiega.

Do pewnego stopnia uspokojona, poszła na Celną, skręciła w Brzozową, znów z innej strony wyszła na Rynek; ani śladu z tego pana.

Szybko weszła do kamienicy, w której mieszkał Jan Pasta, a spotkawszy pomocnika stróża, z którym się już znała jako z towarzyszem, skinęła na niego i w korytarzu powiedziała mu, aby uważał pilnie, czy nie przyjdzie tu taki a taki pan, gdyż jest on szpiegiem.

Następnie zbiegła do piwnicy i zapukała w umówiony sposób. Otworzono, a po przywitaniu Bolek:

— Gdzież to mościpanna chodziła, czekamy już od pół godziny.

Olga skinęła na niego, Helenę i Stacha i opowiedziała im szczegółowo swoje przejścia ze szpiegiem.

— Czy jesteście pewni, że was nie śledził w dalszym ciągu? — spytał Bolek zaniepojony.

— Niemal najzupełniej, ale jeśli macie jakiekolwiek podejrzenia, natychmiast wyjdę.

— Gdzie on stoi, jak wygląda?

Olga opisała go jak najdokładniej.

— Zaczekajcie tutaj, sam pójdę i sprawdzę, czy czeka... zaraz wrócę.

Po jego wyjściu rozmowa się nie kleiła, z jednej strony obawa, że szpieg może czatuje i trzeba będzie tak mozolnie urządzoną drukarnię przenieść; z drugiej strony ciekawość, jaką wiadomość przyniesie Bolek.

Nareszcie odezwały się upragnione pukania, Stach pobiegł otworzyć. Wszedł Bolek z rozjaśnioną twarzą i zawołał:



...O jakie dziesięć kroków za sobą, spostrzegła mężczyznę...

— Górą, Olga! Szpieg przybity gwoździem nie rusza się z miejsca, wpatrzony w bramę, jak sroka w kość. Poprosiłem go o wskazanie mi drogi do Ogrodu Krasińskich, aby go posłyszeć. Odpowiedział mi grzecznie, ale zwięźle. No, niema obawy na ten raz!

— Więc widzicie, że dobrze uważałam — powiedziała Olga nie bez dumy.

— Nie sztuka, jak on sam zarekomendował się wam, jako szpieg... Ale powiedzcie mi, dlaczego on was szpieguje?

Teraz już nie mogła ukryć i po chwili namysłu:

— Wiecie, ten rotmistrz żandarmeryi Bolcew, widział mnie na zabawie i wbrew mojej woli zaczął się starać o mnie. Ciotka, z obawy przed żandarmami, przyjmuje go od czasu do czasu, a on, widząc moją niechęć, czy też z innych powodów, podejrzywa mnie. Najpierw przekupił lokaja u ciotki, ale umiałam tak się urządzić, że lokaj nie wiedział, czy jestem, czy wyszłam i gdzie. Teraz nasłał na mnie szpiega.

— Otóż to bywać Polkom w moskiewskich towarzystwach — mówił Bolek z goryczą — jakiś podły żandarm umizga się, bywa i zapewne myśli o żeniaczce. Śliczna karyera dla Polki! — zaśmiał się ironicznie.

— Dlaczegóż macie, Bolku, do mnie pretensyę? — żaliła się Olga. — Wiedzieliście, do kogo jadę, ani chciałam, ani pragnęłam, aby on starał się o mnie. Czyż moja wina, że ciotka przyjmuje go w swoim domu? czy mogę się sprzeciwić? czy mogę zmienić ich zwyczaje?

— Ależ, Olgo, nie mam żadnych goryczy, tylko wiecie, zabolało mnie, że on, Moskal, brudzi was swemi myślami. Wiem przecież, kto jesteście i tylko was serdecznie żałuję, że musicie zgodzić się na widywanie go i rozmawianie z nim. I w jakim języku mówicie?

— Na razie po francusku, a obecnie po polsku.

— No, zostawmy tę sprawę, kiedyś policzę się z nim.

— Muszę o nim jeszcze wspomnieć. Wiecie co mówił wczoraj? Oto, natychmiast po wyjściu numeru „Wolności" domyślił się, że pismo drukuje się zagranicą, a gdy przedwczoraj pochwycono paczkę z „Wolnością" w pociągu z Granicy i on i inni są przekonani, że drukarnia jest za granicami Królestwa i wysłano tam szpiegów, a również obostrzono straż graniczną.

— Przenikliwość, jak na żandarma zadziwiająca — zaśmiała się Helena.

— Na razie to nas zabezpiecza do pewnego stopnia—przemówił Stach, przystępując do maszyny, by kręcić korbą.

— Kto jednak tak się przeraził, że zostawił niebezpieczny dowód w wagonie? — zastanawiał się Żalecki. — Sprawę trzeba zbadać, był to albo nowicyusz, albo przebiegły... no, dowiemy się.

Olga ubrała się we fartuch i gotowała się do rozpoczęcia roboty przy kaszcie, wtem zapukano i wszedł Sikora:

— Cóż, dzieci, jak stoimy z „Wolnością"? — witał się, naciągając na łysinę boczne włosy.

— Nieszczególnie — odparł Żalecki — numer wprawdzie będzie gotów z maszyny jutro około dziesiątej..

— A część daliście już roznosicielom?

— Dwa tysiące poszło.

— To bardzo dobrze — zacierał ręce Sikora — ucieszy się Kozak! Jeszcze ani razu nie wychodziła nasza gazeta tak punktualnie. O, z was rzetelni robotnicy!

— Mamy kłopot, ojcze Sikoro — zaczęła Helena — towarzyszkę Olgę śledził dziś szpieg!

— O, to źle! — patrzał na Olgę — cóż wy to? Umknęliście, gdy was tu zastałem, ale to zły prognostyk dla drukarni. Jedno z dwojga, albo przewąchali, że należycie do partyi, albo śledzą was, aby coś odkryć z waszych znajomości i stosunków, w każdym razie nie pokazujcie się w drukarni, póki rzecz się nie wyjaśni.

— I wcale nie będę mogła pracować w piśmie? w drukarni? — zawołała Olga ze szczerym żalem.

— To nie, przeciwnie, zanadto cenną jesteście współpracownicą abyśmy się mogli was wyrzec, bo patrzcie — wziął w rękę drugi numer „Wolności" — artykuł o „Oświacie" wasz... okólnik telegraficzny do gubernatorów, wasz... anegdota o piotrkowskim kacyku, wasza... składamy odezwę o propagandzie w gminach i ona wasza, a mamy w zapasie o szkolnej młodzieży...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Powrót rosyjskich jeńców wojennych z Japonii: Jeńcy rosyjscy w Jokohamie na pokładzie okrętu mającego ich przewieść do ojczyzny.

Powrót rosyjskich jeńców wojennych z Japonii.

Jak wiadomo, w ciągu półtora roku trwającej wojny rosyjsko-japońskiej kilkanaście tysięcy żołnierzy rosyjskich dostało się do niewoli. Starszyzna wojskowa rosyjska zapewniała wprawdzie swoich żołnierzy, że stokroć lepiej zginąć im na polu walki, aniżeli oddać się w ręce Japończyków, którzy, wedle ich słów, dopuszczać się mieli na jeńcach niesłychanych okrucieństw, ale na wojnie z takim jak Japończycy przeciwnikiem nie było czasu do namysłu, wśród gradu ognia i kul nie było ochoty do filozofowania, każdy zapominał o słowach oficerów, a myślał tylko o własnej skórze, jakby można ujść z życiem, więc też po każdej prawie większej bitwie donosiły telegramy, że Japończycy zabrali znowu paręset lub parę tysięcy ludzi do niewoli.

A niewola ta nie była wcale dla biednych żołnierzy rosyjskich nieznośną, jak się okazywało z listów, nadsyłanych z Japonii od jeńców wojennych do ich rodzin w Europie. Pobyt w Japonii nietylko im się podobał, ale wpłynął na nich ogromnie dodatnio. Japończycy okazali dowodnie obchodzeniem się z jeńcami, że są daleko kulturniejsi, daleko lepsi, niż narody europejskie, szczycące się swoją cywilizacyą i humanitarnością.

Wpośród jeńców rosyjskich przeważna część była takich, którzy nie umieli ani czytać ani pisać, ludzi ciemnych, nieokrzesanych. Japończycy postarali się o to, aby jeńcom dostarczyć nauczycieli, którzy ich mieli wyrwać z większej niewoli, jak niewola wroga, bo z niewoli ciemności. Baraki dla jeńców przemieniły się w krótkim czasie w szkoły, w których jeńcy uczyli się czytać, pisać, elementarnych zasad geografii i historyi. I nieraz się zdarzało, że jakaś biedna rodzina w głębokiej Rosyi, która już dawno opłakiwała syna, zabranego na wojnę, otrzymywała odeń list, pisany jego własną ręką, chociaż ten syn, wyruszając na pole walki, nie miał pojęcia o pisaniu. Jeńcy, których Japończycy kształcili, uczyli, otwierali im nowe, nieznane horyzonty, jakie ukazać może nauka, stawali się w niewoli japońskiej dopiero ludźmi, którzy patrzyli na świat tak, jak patrzeć powinien człowiek XX wieku. Nic dziwnego, że jeńcy ci pokochali Japonię i Japończyków, bo in zawdzięczali podniesienie się z kajdan ciemnoty, im zawdzięczali pierwsze promienie światła nauki.

Po zawarciu pokoju w Potsmouth, który nareszcie położył kres nieszczęsnej wojnie, rozpoczęły się pertraktacye co do przewozu jeńców z Japonii do Rosyi. Kilkanaście towarzystw okrętowych złożyło rządowi rosyjskiemu oferty co do kosztów przewozu; zwyciężyli naturalne, jak zwykle zresztą, Niemcy, którzy na jeńcach odbiją sobie to, co rząd na nich zarobił. W ubiegłym miesiącu zaczęto nareszcie przewóz jeńców. Kilkanaście transportowych okrętów niemieckich zabrało z Jokohamy kilka tysięcy jeńców, których mają odstawić do Odessy i Sebastopola.

Załączona obok ilustracya przedstawia pokład jednego z okrętów przewozowych w Jokohamie, zapełniony jeńcami. Spodziewaćby się należało że na twarzach jeńców malować się będzie radość, uniesienie — przecież ten okręt ma ich zawieść do ojczyzny, do ich rodzin. Tymczasem na ilustracyi widać zupełnie co innego. Twarze jeńców zachmurza, jakby cień melancholii, smutku i tęsknoty, ale znać, że to nie tęsknota za Rosyą, ale za Japonią, za Japończykami, za tymi, którzy byli ich nauczycielami, którzy ich nauczyli myśleć i czuć, otworzyli im podwoje świątyni cywilizacyi. Widać,



Z rewolucyi wojskowej w Sebastopolu: Oficer z krążownika „Oczakow“, jeden z przywódców rewolucyi, składa szpadę w ręce zwycięzców, poddając się.

że oni woleliby nawet zostać w Japonii, jak to wielu z nich uczyniło, aniżeli powracać do ojczyzny, chociaż nad tą ojczyzną błysło już słońce wolności. Jadą więc z obawą, nie wiedząc, co ich czeka tam, w Rosyi dalekiej, ze smutkiem w duszy za — umiłowanymi wrogami.

Z rewolucyi wojskowej w Sebastopolu.

Każdy większy ruch społeczny ma tę własność, że kiedy w jednem miejscu przycicha, odzywa się ze zdwojoną siłą w drugiem, nieraz setki mil od pierwszego oddalonem. Ten objaw można doskonale obserwować na historyi ostatnich miesięcy w Rosyi. Po Petersburgu przyszła kolej na Moskwę, potem na Warszawę, na Odessę, Kronsztad, Sebastopol i znowu na Moskwę. Co kilka tygodni, kiedy wulkan rosyjski w jednem miejscu dymić przestał, odzywały się gromy i wybuchy w coraz to nowych punktach, które wzmagały z każdą chwilą ogólne wrzenie w Rosyi.

Ze wszystkich jednakże ognisk rewolucyi, najbardziej płomiennymi zgłoskami zapisały się w historyi bunt marynarzy w Odesie, a w kilka miesięcy później w Kronsztadzie i Sebastopolu.

Pisaliśmy już w roku zeszłym o przyczynach i przebiegu rebelii wojskowej w Sebastopolu. Jakie ona miała znaczenie dla ogólnego ruchu w Rosyi, o tem pisać nie potrzebujemy. Wystarczy wskazać na bunty wojsk lądowych w całem państwie, na ostatnie wypadki w Moskwie i Petersburgu, znane Czytelnikom z dzienników. Ograniczymy się więc tutaj do dwóch jeno obrazów z krwawych dni w Sebastopolu, które na rewolucyę tamtejszych wojsk wpłynęły decydująco.

Załoga sebastopolska wogóle zbyt była niepewną, ażeby pewnej jej części choćby użyć na stłumienie buntu. Admirał Czuchnin, któremu polecono zgnieść bunt, zażądał więc, aby mu przysłano kilka pułków, załogujących w okolicy, na które możnaby z pewnością liczyć. Między innemi wysłano mu pułk litewski, jeden z najbardziej „wiernych“.

W nocy z 27 na 28 listopada zarządził Czuchnin szturm do koszar, w których się kryli zbuntowani marynarze. Żołnierze, po większej części sami Litwini, otoczyli koszary i o północy nagle wszczęli szalony ogień na koszary buntowników. Ale i buntownicy nie spali. Na ogień odpowiedzieli ogniem. Wywiązała się krwawa walka, tak zacięta, że ogień karabinów rozświetlił ciemności. Koszary buntowników oświetlono zresztą reflektorami nadbrzeżnych bateryi, tak, że pułk litewski mógł do nich swobodnie celować i prażyć je skutecznym ogniem, pozostając w ciemności. Skutek był rzeczywiście straszny. Rewolucyoniści, wśród których było mnóstwo trupów i setki rannych poddali się, decydując temsamem upadek rewolucyi, który też wkrótce nastąpił.

Po uporaniu się z buntownikami na lądzie, admirał Czuchnin wziął się do zgniecenia buntu na morzu. Skierowawszy ogień kilkunastu bateryi nadbrzeżnych na zbuntowane okręty, z pomocą kilku okrętów wiernych zmusił buntowników do poddania się. Poddających się wyprowadzono pod strażą na ląd. Jeden z głównych przywódców rewolucyi, oficer na „Oczakowie“, prawa ręka porucznika Schmidta, który, jak wiadomo, kierował rewolucyą, szczęśliwie zdołał zbiedz z „Oczakowa“, gdy załoga jego się poddała. Schwytano go jednak na ulicy i otoczono. Nie widząc dla siebie ratunku, oddał zwycięzcom szpadę, na znak, że się poddaje.

Porucznik Schmidt, dusza buntu, był już w rękach admirała Czuchnina. Najzdolniejsi jego pomocnicy albo się dobrowolnie poddali, albo ich przemocą zmuszono do uległości. Nic dziwnego, że zbuntowanych ogarnęła rozpacz. Niepowodzenie, aczkolwiek dosięgło ich po całym szeregu sukcesów, złamało zupełnie ich hart. Admirał Czuchnin tryumfował. W potokach krwi utopił bunt sebastopolski, raz jeszcze okazał, że rząd ma jeszcze resztki władzy w swym ręku.

Ale pomimo wszystko, pomimo zgniecenia tego buntu, nie zdołał admirał Czuchnin zniszczyć posiewu, jaki bunt sebastopolski rzucił w podporę dotychczasowego rządu, w armię. Raz po razu też wybuchały w innych miejscowościach objawy niesubordynacyi, całych nawet garnizonów, tak, że ostatecznie w ubiegłym już tygodniu mógł się rząd przekonać, iż w wirze ogólnego ruchu w całej Rosyi poważniejszą rolę odgrywać zaczyna wojsko, a z faktem tym na seryo liczyć się już trzeba.

* * *

Ilustracye nasze, jakie zamieszczamy w dzisiejszym numerze, przedstawiają jedna szturm pułku litewskiego na koszary buntowników, druga poddanie się oficera-rewolucyonisty po zgnieceniu rewolucyi w Sebastopolu.

Strejk pocztowy w Rosyi.

W chwili, kiedy powszechnie sądzono, że energia ludu rosyjskiego po tylomiesięcznej zaciekłej walce z rządem się wyczerpała, kiedy życie państwowe, jak się zdawało, powoli zaczęło powracać na normalne tory, a niedołężny i krótkowidzący rząd był przekonany, że nareszcie uporał się z narodem i zwyciężył, rozeszła się piorunująca wieść o strejku pocztowo-telegraficznym, jaki nagle rozszerzył się w całem państwie rosyjskiem, odcinając je od styczności i łączności z resztą świata. Pisaliśmy już niejednokrotnie, jak olbrzymie znaczenie ma dla państwa nowoczesnego strejk pocztowy. Na tem miejscu zaznaczyć jeszcze musimy, że niema w Europie państwa, niema rządu, któryby się odważył dopuścić do takiego strejku, że każdy rząd dołożyłby wszelkich starań, aby strejkowi takiemu zapobiedz, bo każdy zdaje sobie jasno sprawę z tego, jak olbrzymie szkody strejk pocztowy musi społeczeństwu wyrządzić. Jeżeliby zaś gdziekolwiek nie udało się zapobiedz takiemu strejkowi, to z pewnością uczyniono by wszystko, aby tylko czas trwania strejku był jak najkrótszy. Każdy dzień strejku wyrządza szkody milionowe, bo tamuje całe życie ekonomiczne państwa, każdy tydzień zbliża coraz bardziej państwo do ruiny. O tem wie każdy przeciętnie w sprawach ekonomicznych uświadomiony człowiek, nie wie tylko, czy nie chce wiedzieć, obecny rząd rosyjski.

Cztery tygodnie minęło, a rząd rosyjski nie uczynił nic, aby w jakikolwiek sposób strejkowi pocztowemu koniec położyć. Rządowi zdawało się, że stłumi i zgniecie strejk, jak zwykle zapomocą wojska. W innem państwie, możeby wojsko zapobiegło było ruinie, jaką strejk pocztowy państwu przynieść musi, albo przynajmniej przedłużyłoby znacznie czas przyjścia tej ruiny, ale możliwe to byłoby jedynie w państwie bardzo kulturalnem, gdzie wojsko nawet posiada pewną inteligencyę, ale nie w Rosyi. Żołnierz rosyjski nie przestał przecie do dziś dnia być ciemnym, nieuświadomionym, nie przestał być powolnem narzędziem w ręku władzy, do czego mu kultura bynajmniej nie potrzebna. Takim żołnierzem nie można zastąpić urzędników tak skomplikowanej maszyneryi, jaką jest poczta i telegraf. Instytucya poczt jest przecież jednym z najpiękniejszych zdobyczy cywilizacyi XIX. wieku, ale też jest symetrycznie do tego skomplikowaną i wymagającą nie tylko kolosalnej rutyny, ale i wprawy. Na poczcie musi iść wszystko jak w zegarku, w którym najmniejsza nawet sprężyna ma swój cel i w razie zepsucia powoduje zastój w całej maszyneryi.

W Petersburgu i w większych miastach rosyjskich usiłowano też zastąpić strejkujący personal pocztowy i telegraficzny wojskiem, do czego przeznaczono nie prostych żołnierzy, ale oficerów. Na wiele się to nie przydało, z przyczyn, jakie wyżej wymieniliśmy. Ruch pocztowy ustał prawie zupełnie, listy prywatne nie dochodziły zwykle do miejsca przeznaczenia, bo wojsko nie mogło podołać wysyłce urzędowych listów i dzienników i tą wysyłką tylko się zajmowało. Wciągnięto wprawdzie do służby pocztowej wysłużonych już urzędników i urzędniczki, znaleźli się nawet łamistrejki, którzy pod groźą więzienia lub śmierci musieli pracować w urzędzie pocztowym, ale to wszystko było za mało, aby usiłowania strejkujących zniweczyć. Strejk pocztowy trwał miesiąc przeszło i wyrządził państwu nigdy niepowetowane szkody. Rząd rosyjski ciężko kiedyś odpokutuje



Z rewolucyi wojskowej w Sebastopolu: Pułk litewski szturmuje w nocy koszary buntowników.



Strejk pocztowy w Rosyi: Ekspedycya dzienników w jednem z biur pocztowych w Petersburgu w czasie strejku pocztowego.
(Według nadesłanej nam fotografii).

za lekkomyślność, z jaką dopuścił do tak długiego trwania strejku.

Strejk pocztowo-telegraficzny musiał się przecie w dotkliwy sposób odbić na handlu rosyjskim, który po strejku kolejowym, jaki miał miejsce kilka tygodni przedtem, dopiero zaczął się dźwigać, podnosić, aby setki kupców i przemysłowców uchronić od zupełnej ruiny. To też skutki jego są już dzisiaj widoczne. Kupcy nawet ci, o których sądzono, że potrafią przetrzymać najgorsze nawet kataklizmy ekonomicznej natury, zwinęli interesy odcięci bowiem od swiata, nie mogli przetrzymać kryzysu i upadli. A ten fakt odbije się znowu na wszystkich bankach i instytucyach finansowych.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok cztery ilustracye, przedstawiające obrazki z ruchu na poczcie w czasie strejku pocztowego w Petersburgu i w Warszawie. Z nich widać najlepiej, jak niedołężnie poczta funkcyonowała.

Na pierwszym obrazie widzimy ekspedycyę dzienników w jednem z biur pocztowych w Petersburgu. Sala cała zapełniona pakunkami i workami, w których się znajdują dzienniki. Kilku oficerów załatwia ekspedycyę pisemną, kilku parobków wiąże worki z dziennikami. Na każdym kroku znać nieład, nieumiejętność i powolność.



Strejk pocztowy w Rosyi: Przewożenie przesyłek z gmachu pocztowego w Petersburgu do pociągu pod dozorem wojska.
(Według nadesłanej nam fotografii).



Strejk pocztowy w Rosyi: Przyjmowanie przesyłek poleconych podczas strejku pocztowego w jednem z biur pocztowych w Warszawie.
(Według nadesłanej nam fotografii).

która wszędzie indziej jest możliwą, tylko nie na poczcie.

Na drugim obrazie przedstawione jest transportowanie przesyłek z gmachu pocztowego na kolej, pod ochroną wojska, również w Petersburgu.

Trzeci obraz przedstawia biuro pocztowe w Warszawie, w którem przyjmują przesyłki polecone. Pracują tam także ludzie po cywilnemu ubrani pod dozorem oficerów, prawdopodobnie ci, których przemocą zmuszono do pracy.

Czwarta ilustracya przedstawia ambulans pocztowy w pociągu, wychodzącym z Warszawy do Moskwy. Służbę pełnią oficerzy. Strejk zakończył się w ubiegłym tygodniu. Ale przez długie czasy rząd go popamięta.



Strejk pocztowy w Rosyi: Ambulans pocztowy w pociągu idącym z Warszawy do Moskwy podczas strejku pocztowego. (Według nadesłanej nam fotografii).

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

4 (Ciąg dalszy).

Kto mu przysłał tę papierośnicę, pani Groux nie wiedziała. Hanier, który prawdopodobnie wiedział, od kogo dostał podarek, nie wymienił jednak nazwiska ofiarodawcy. W tygodniu świątecznym panował zresztą taki ruch, że Hanier zaledwie późno w nocy wychodził z gospody, a wtedy nie miał ochoty do wynurzania się. Papierośnicę włożył jednakże nie do szuflady z pieniądzmi, ale do porcelanowej wazy, stojącej na kominku w drugim pokoju. Pani Groux zauważyła zaraz brak tej papierośnicy, bo wszedłszy do gospody po katastrofie, zobaczyła, że wszystkie przedmioty były potłuczone, tylko jedna ta waza stała nienaruszona. Ale papierośnicy w niej nie było.

Pytałem się, czy w niej nie było owych dwudziestu dolarów, które mu wraz z papierośnicą przysłano. Pani Groux odpowiedziała, że nie. Zaznaczyła zresztą stanowczo, że było wprost rzeczą niemożliwą zobaczyć papierośnicę we wazie i kto o niej nie wiedział, toby mu nawet na myśl nie przyszło, że ona się tam znajdowała.

— Ciekawy szczegół! — zauważył inspektor. — Ten, kto ukradł papierośnicę, musiał więc dokładnie znać skrytkę, w której się znajdowała i należeć do stałych klientów Hanier'a. Dlaczego jednak waza pozostała nietkniętą? Tego pan nie wiesz. A czy Hanier pokazywał kiedy gościom tę papierośnicę?

— Pani Groux, którą o to pytałem, powiedziała mi, że według jej mniemania, nawet żona Hanier'a ani dzieci jego o niej nie wiedziały. Hanier nie palił nigdy, nie nosił jej więc przy sobie, ale że była to rzecz kosztowna, więc chciał ją w bezpiecznem miejscu przechować. Za najlepszą skrytkę uważał właśnie tę wazę, przypuszczając, że właśnie dlatego, iż można ją było tak łatwo oglądać, nikt nie będzie przypuszczał, iż w niej jest coś wartościowego. Włożył ją tam w wigilię i jak mniema pani Groux, już jej nie wyjmował. Twierdziła to zresztą na pewne, bo w wigilię właśnie rozmawiała o niej z Hanier'em, do którego przyszła po spirytus. Przypomniała sobie nawet ostatnie jego słowa: „Muszę tę papierośnicę wyjąć z wazy i zanieść do lombardu — mówił Hanier. — Tutaj wprawdzie jest bezpieczna, ale tam będzie bezpieczniejsza“.

— To rzeczywiście ciekawe! — przerwał inspektor — ale dla nas ma zaledwie bardzo małe znaczenie. Ponieważ papierośnica była srebrna i łatwa do poznania, więc złodzieje musieli ją natychmiast stopić. Jeżeli pani Groux nie wie, kto ją dał Hanier'owi, to będzie ciężko skądinąd się o tem dowiedzieć.

— Ja zaś sądzę — rzekł z pośpiechem Ślimak — że jedna i ta sama osoba — według wszelkiego prawdopodobieństwa kobieta — darowała Hanier'owi papierośnicę, 29 grudnia ją ukradła, a później odebrała Hanier'owi życie.

Inspektor zmarszczył brwi.

— Tego zupełnie nie rozumiem. Zresztą, nie będę panu przeszkadzał; mów pan dalej. Może być, żeś pan już trafił na właściwy ślad zbrodniarzy, czegobym panu nawet zazdrościł.

— Niech pan pozwoli. Wspomniałem o tem przypadkowo. Kiedy pani Groux wypowiedziała ostatnie słowa Hanier'a, tyczące się owej srebrnej papierośnicy, uderzyła się nagle w czoło i zawołała: Jakżeż ja o tem mogłam zapomnieć! Przecież to główna rzecz!

I teraz opowiedziała mi, że — słyszała to podobno od pani Hanier — że w ów wieczór nieszczęsny, kiedy Hanier'owie szli spać, gdy sklep był już zamknięty, nagle ktoś zapukał do bramy. Z początku nie zwracali na to uwagi, sądząc, że może jaki pijanica chce im spłatać figla. Ponieważ jednak pukanie kilkakrotnie się powtórzyło, i to w sposób stanowczy, jakby ktoś rzeczywiście pragnął wejść do gospody, Hanier wstał z łóżka i wyjrzał przez okno na ulicę. Mówił, że na ulicy stała dorożka, ale osoby, stojącej przy bramie, nie mógł dojrzeć. Wdział więc szlafrok i pantofle i zeszedł na dół. Pani Hanier pozostała w łóżku i słyszała, jak Hanier otworzył drzwi i wpuścił jakiegoś człowieka; potem słyszała szybkie kroki, jakby z gospody dochodzące. Rozmowy, jaka się na dole toczyła i trwała blisko piętnaście minut, nie mogła zrozumieć, ale poznała dokładnie kobiecy głos. Łamała sobie głowę, coby to mogła być za kobieta; męża swojego znała zanadto dobrze, aby go posądzać o niewierność. Do tego nie miała przez cały czas pożycia najmniejszego powodu. Ciekawość paliła ją jednak do tego stopnia, że wstała z łóżka i miała się udać na schody, kiedy Hanier z nieznajomą wyszli właśnie z szynkowni, podchodząc ku bramie. Nieznajoma wyszła, a Hanier zamknął starannie bramę. Kiedy powrócił na górę, Hanierowa pytała go, co się stało. Hanier jednakże był taki znużony i śpiący, że zaspokoił ją słowami: „Ach, to długa historya — w sprawie „kolendy“ — jutro ci to opowiem“.

Potem położyła się znowu i zaraz zasnęła. Może w godzinę później zaczęły się owe nadzwyczajne szmery. Przebudziła się i odrazu wpadło jej na myśl, że to musi być jeszcze owa nieznajoma. Jednak wytłómaczyła sobie zaraz, że to niemożliwe, bo przecież brama została zamknięta. Zbudziła więc męża i zapytała go:

— Czy ta kobieta jest tam jeszcze na dole?

— To niemożliwe — odparł Hanier — ale po po chwili, wsłuchując się w szmery, dodał — jednak może — może ja się mylę, trzeba wstać.

Wstał więc z łóżka, jak również i pani Hanier, a w minutę później Hanier padł trupem od kuli.

— Ciekawa historya! — zauważył inspektor. — Dziwię się tylko, że pani Groux nie wspomniała o tem odrazu.

— Zapomniała wszystko i dopiero brak owej srebrnej papierośnicy naprowadził ją na to.

— Ale kto wie, czy Hanier wogóle o niej myślał. Przecież mógł taksamo mówić o jakimś innym podarku.

— Wątpię. Inne podarki, jakie Hanier dostał „na kolendę“ to były artykuły spożywcze, cukier, masło i tym podobne. Jedynie ta papierośnica była godniejsza uwagi i o niej tylko mógł Hanier myśleć.

— Dobrze więc. Przypuśćmy, że ta osoba — powiedzmy kobieta — przyszła z powodu owej papierośnicy. Albo osiągła swój cel, albo nie. Jeżeli papierośnicę dostała to nie można przypuszczać, że o godzinę później powróciła i popełniła morderstwo. Jeżeli zadaniem jej było zgładzić Haniera ze świata, to dlaczego nie uczyniła tego od razu? Jeżeli zaś papierośnicy nie otrzymała — to powrót jej, a raczej sposób tego powrotu, jest tem mniej zrozumiały. Dla niczego i znowu niczego nie naraża nikt swej wolności i życia. Jeśli zresztą weszła pierwszy raz do gospody bez trudności, to pocóż, wracając, wywalała drzwi? Jeżeli jej Hanier nie oddał papierośnicy podczas jej pierwszego pobytu, to wróciwszy, nie mogła jej dostać, bo Hanier spał w łóżku. Więc ta kobieta sama ją sobie wzięła — bo przecież papierośnica znikła. Jeżeli ją więc miała, to pocóż wywiodła Haniera do sieni i zamordowała go?

Wygląda to tak, jakby to ta właśnie kobieta zniszczyła całą gospodę i splądrowała ją. Bądź pan przekonany, że mordercą był zupełnie kto inny. Łączyć bowiem piewsze jej odwiedziny z morderstwem, to znaczy samowolnie leźć na rozstajne drogi. Obydwie te okoliczności są niezrozumiałe i tajemnicze, ale musimy je zupełnie oddzielnie rozważać, jeżeli one mają nas do czego doprowadzić. Powstało krótkie milczenie. Ślimak uporczywie patrzał w podłogę, wreszcie podniósł wzrok w górę.

— To, co pan mówił — panie inspektorze — rzekł — jest bardzo słuszne i rzuca na sprawę dość silne światło. Ale, o ile mnie się zdaje, to obydwie te okoliczności mają rzeczywiście związek ze sobą, nawet jeżeli przypuścimy, że w morderstwie brało udział więcej ludzi.

Niech pan mówi, co pan sądzi. Wszystko to przecie tylko przypuszczenia — przerwał inspektor, który znał dobrze Ślimaka i ufał jego sprytowi i doświadczeniu.

A Ślimak zaczął na nowo:

— Przypuszczam, że Hanier, bez wiedzy żony, był członkiem tajnych stowarzyszeń, w których omawiano projekty nawet anarchistyczne. Znał dobrze naczelników tych stowarzyszeń, ludzi może wysokie zajmujących w społeczeństwie stanowiska, i cieszył się ich zaufaniem, tak, że z czasem wtajemniczony był przez nich w bardzo ważne sprawy. Bardzo możliwe, że w związku z tem była owa srebrna papierośnica — może to była tajemna odznaka wtajemniczonego? Przypuśćmy dalej, że Hanier naraz postradał to zaufanie — może nie chciał spełnić jakiego czynu, do którego spełnienia jego właśnie przeznaczono, a w takim razie m simy przyjąć, że postanowiono mu papierośnicę odebrać, a jego samego zgładzić.

Chodziło jednak stowarzyszeniu przedewszystkiem o to, aby podejrzenie o morderstwo na nie nie spadło. Bo policya dzięki zniknięciu owej papierośnicy mogła łatwo wysnuć podobne, jak ja je snuję wnioski, i w ten sposób wpaść na trop mordercy. Przecież za niczem tak się gorliwie nie śledzi, jak za mordercą. Jeżeli zaś papierośnica ta nie miała, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nic wspólnego ze zbrodnią, to — nie mamy znowu najmniejszych śladów.

— Gdyby nawet tak było, jak pan mówisz — przerwał trochę niecierpliwie inspektor — te jednak nie tłómaczy to bynajmniej ani drugiej wizyty owej pani, ani włamania. Sądzę, że byłoby lepiej, uważać całą tę sprawę za prosty rabunek, a raczej morderstwo z rabunkiem.

— Ale — wtrącił Ślimak z uporem — skądżeby zwyczajni złodzieje wiedzieli, gdzie się znajduje papierośnica? Jeden jedyny Hanier tylko wiedział, gdzie ją ukrył. Owa kobieta miała polecone dowiedzieć się o niej. Musiała mówić z nim w cztery oczy, dlatego czekała do północy. Naturalnie musiał Hanier przedtem wiedzieć, że ona należy do stowarzyszenia. Przyszła prawdopodobnie pod jakimś pozorem, tak że o papierośnicy wspomniała tylko przypadkowo, bo Hanier nie myślał przecież, że czyhają na jego życie. Byłby się przecie miał na baczności i cały plan udaremnił. Dowiedziawszy się, co chciała, kobieta owa opuściła gospodę, a Hanier poszedł spać spokojnie. W godzinę później miało miejsce włamanie. Kobieta ta mogła przy tem nie być wcale obecną, bo miała prawdopodobnie wspólników, którym tylko wyjawiła, gdzie się znajduje papierośnica. Ponieważ jednak synek Haniera nie może podać stanowczo, czy widział cień mężczyzny, czy kobiety, uciekającej przez podwórze po spełnieniu zbrodni — możemy więc przypuścić, że była tam i ta kobieta. Pierwsze jej odwiedziny były zatem przygotowaniem drugich, a drugie następstwem pierwszych. Tem tłómaczy się też szczególne splądrowanie gospody, zresztą zepełnie bezcelowe, a zresztą — szczególne zachowanie się kobiety, którą rano po morderstwie obserwowałem w tłumie przed domem Haniera daje dużo do myślenia.

— Sądzisz pan więc, że ona jest morderczynią? — zapytał inspektor.

— Przynajmniej możnaby na to przedewszystkiem zwrócić uwagę.

Inspektor Byrnes siedział chwilę w głębokiem zamyśleniu, poczem ozwał się:

— Sama w sobie historya ta nie jest tak bardzo nieprawdopodobna. Ale, mówiąc otwarcie, przyznam się, że wątpię mocno, aby się rzeczy tak miały. Gdyby Hanier był anarchistą lub nihilistą, to byl byśmy o tem wiedzieli. Ludzie ci przybywają do nas z Europy, aby tutaj, na wolnej ziemi amerykańskiej, knuć spiski przeciw swoim rządom — nie przeciw naszym. Gadają dużo. ale też zwykle na tem tylko się kończy. Takie ukrywania się i tajemnice u nas nie miałyby celu. Sprawa z tą papierośnicą musi się wyjaśnić, ale trudno będzie połączyć ją jakoś ze samą zbrodnią morderstwa. Dotychczas jest to moje przekonanie — naturalnie, może być, że mylne. — Jutro dowiemy się o mordercym rewolwerze, może to nas zaprowadzi na właściwą drogę. Tymczasem możesz pan się zająć dalszem badaniem co do owej papierośnicy. Masz może dokładny jej opis?

— O tyle, o ile. Srebrne papierośnice wogóle dość rzadko się u nas znachodzą. Wedle tego, co mi mówiła pani Groux, była papierośnica Haniera wyrobem rosyjskim, ciężka, masywna, ozdobiona ładną grawurą i monogramem, jak jej się zdawało: L. H. — to są początkowe litery nazwiska Haniera — ale to mógł być tylko przypadek.

— W każdym razie ciekawy. Tylko, jak widzę, sprawy naszej to nie rozjaśnia.

— Ba, zaciemnia ją nawet — potwierdził Ślimak, z odcieniem zadowolenia w głosie.

— Jeżeli ta papierośnica jest rzeczywiście takiej wagi, jak pan sądzi — mówił dalej inspektor — to z pewnością nie powędrowała do lombardu. Albo więc już jej nie ma, albo też w dobrem się znajduje ukryciu. Złodzieje fachowi byliby ją już dawno stopili i sprzedali jako srebro. Przy przedmiocie tak łatwym do rozpoznania, zachowują oni nadzwyczajne ostrożności, tak, że trudno wpaść na ich ślad.

— Święta prawda — rzekł Ślimak, marszcząc brwi. — Zobaczę, co się da zrobić. Może znajdę dorożkarza, który wiózł ową osobę do Haniera. Mógłbym podać inserat do gazet, żeby się zgłosił do mnie dorożkarz, który o północy na Świętego Sylwestra wiózł pewną damę na ulicę Wolności. Zresztą, może się co dowiem od dorożkarzy. Może

być zresztą, że spotkam ową damę i owego pana — ale już ich wtedy nie spuszczę z oczu.

— Rób pan, co się panu podoba. Będziemy przecież widzieli, czy się to na co przyda. Ma pan może jeszcze co nowego?

— Na razie nie, panie inspektorze.

— A więc — dobranoc!

Ślimak oddalił się. Inspektor wdział palto, ubrał się i zapaliwszy cygaro, opuścił swoje ponure biuro.

ROZDZIAŁ VI.

Nocny puszczyk.

Dwaj detektywi, którzy mieli polecone śledzić za rewolwerem w lombardach, złożyli raport w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Pomiędzy najrozmaitszymi przedmiotami, jakie znaleźli w lombardach, były także trzy rewolwery, ale dwa z nich tego samego kalibru, jak i kula, która przyniosła śmierć Hanier'owi. Jeden z nich był wedle wszelkiego prawdopodobieństwa tym, którego szukał inspektor Byrnes.

Siedział on właśnie w swoim biurze, zajęty przeglądaniem raportów owych detektywów, notując sobie pewne szczegóły. Jeden z rewolwerów, o który mu najbardziej chodziło, był zastawiony przez człowieka, nazwiskiem Evans. Podano nawet dokładny jego adres. Drugi zastawiony był przez jakiegoś Edwarda Bride.

Należało więc przedewszystkiem poszukać tych dwóch panów, Evansa i Bride'a. Tak nazwiska jak i adresy ich mogłyby być fałszywe; ale mogły też być prawdziwe, lecz obydwaj może są w stanie udowodnić swą w tej sprawie niewinność. Nie można nawet było przypuszczać, żeby oczywisty morderca podał prawdziwe nazwisko i adres.

Więc cóż?

W takim razie sprawa morderstwa Haniera nie została zupełnie wyjaśnioną. Należało jednak trzymać się każdej okoliczności, która na trop zbrodni naprowadzić mogła. Inspektor wysłał więc zaraz ajenta, który miał się dowiedzieć, czy Evans i Bride rzeczywiście istnieją i czy ich adresy są prawdziwe. Detektyw sprawił się bardzo szybko. Raport jego brzmiał:

„O Evansie niema najmniejszej wiadomości. Zastawił rewolwer 31 grudnia o 11 rano. Rysopisu brak. Podobno z wyglądu można go wziąść za zwykłego rzezimieszka. Adres, podany na karcie zastawniczej, fałszywy“.

„Edward Bride istnieje. Wedle zasięgniętych przezemnie wiadomości w szynku przy ul. Bowery, jest podobno dorożkarzem. Od dorożkarzy znów dowiedziałem się, że Bride nie powozi stale, ale od czasu do czasu bawi się w dorożkarza i to tylko w nocy, polując na spóźnionych przechodniów. Należy on do tak zwanych „nocnych puszczyków“. Dorożkarze mogą powiedzieć, kiedy i gdzie jest na posterunku“.

Inspektor wiedział doskonale, co to są „nocne puszczyki“. Ludzie ci znają wszystkie rozkosze i przyjemności wielkiego miasta z własnego doświadczenia, na życie zarabiają bowiem tylko w nocy, a klientelę ich stanowią tylko ludzie, którzy się lubią bawić. Są między nimi ludzie porządni, ale są i złodzieje, wogóle zbrodniarze.

— Jeśli mister Bride jest „nocnym puszczykiem“ — myślał inspektor — to w każdym razie ma coś wspólnego z ludźmi, jakich właśnie szukam. Zatem musimy go znaleźć, choćby to nie wiem, ile kosztowało.

Noc była ponura i dżdżysta, przypuszczalnie więc Bride był na posterunku. Wszak to najlepsza dlań pora.

Inspektor wdział więc nieprzemakalny płaszcz i w towarzystwie jednego z detektywów opuścił dyrekcyę policyi. Mimo, że czas był wstrętny, teatry wszystkie były wypełnione, karnawał był w całej pełni, całe miasto bawiło się wspaniale. Jakakolwiek dorożka jechała bez pasażera, inspektor zatrzymywał ją i przesłuchiwał dorożkarza. Nareszcie koło kościoła Serca Jezusowego spotkał dorożkarza, który na jego pytanie odpowiedział:

— Nie, Bride się nie nazywam, ale wiem, gdzie Bride stoi.

— Mianowicie?

— Na skwerze Union. Właśnie stamtąd pocam.

— Dobrze. Proszę mnie tam zawieźć i wskazać go.

Mówiąc to, inspektor wsiadł do doróżki. Potoczyła się szybko w kierunku skweru. Gdy tam dojechali, dorożkarz stanął i rzekł ktora:

— Widzi pan tę dorożkę pod latarnią?

— Widzę.

— To jest dorożka Bride'go. O, właśnie, on stoi obok, z fajką w gębie.

Inspektor wysiadł i podszedł ku Bride'mu, który, ujrzawszy go, natychmiast wyjął fajkę z ust i zapytał uniżenie:

— Dokąd mogę służyć?

— Na razie nigdzie, mój przyjacielu. Chciałem tylko z panem pomówić.

Inspektor stał pod latarnią, tak, że światło jej padało na Bride'go. Był to niski, krępy chłopak, z wydętą twarzą i szaremi, ruchliwemi oczyma. Z twarzy jego przebijała się dobroduszność i pewien jowialny humor. Na pytanie, czy on się nazywa Edward Bride, odparł grubym głosem:

— Tak jest; ja się tak nazywam.

Inspektor wiedział, że najlepiej nie dawać badanemu czasu do namysłu. Szybko więc zapytał:

— Pan zastawiłeś w ubiegłym tygodniu rewolwer?

Na Bride'm pytanie to nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

— Tak jest — odpowiedział zaraz.



...Pan zastawiłeś w ubiegłym tygodniu rewolwer? zapytał inspektor?

— Skąd go pan wziąłeś?

Bride wpatrzył się nagle ostro w twarz inspektora i wybuchnął głośnym śmiechem.

— Odpowiadaj pan! — upomniał go inspektor.

— Tak — rzekł wreszcie Bride — to jest ciekawa historya.

— Więc mówże pan!

— To było tak. Kiedy — tego już napewne nie wiem, ale zdaje mi się, że to było koło Nowego Roku. Jechałem już z godzinę próżno i chciałem właśnie zawrócić do stajni, kiedy nagle zawołali mnie jakiś mężczyzna i kobieta.

— O jakim to czasie było?

— Jakoś koło północy.

— W której okolicy?

— Dokładnie nie wiem; ale — jak mi się zdaje — gdzieś koło piątej Avenue.

— Noc była pogodna?

— Boże uchowaj! Było tak jak dzisiaj, albo jeszcze nawet gorzej, bo wiatr dął przeraźliwy, że aż szpik w człowieku mroziło.

— No, mów pan dalej. Jak to było z tym panem i jego towarzyszką?

— Ano, tak. Stanąłem a oni wsiedli do doróżki Kazano mi jechać na ulicę Wolności.

— Kto kazał?

— Ten pan. Powiedział mi, że mi da znać, kiedy będę miał stanąć.

— Na ulicę Wolności, powiadasz? — powtórzył w zamyśleniu inspektor, którego to niespodziewane odkrycie odrazu uderzyło. — Ale mów pan dalej!

— Jechałem więc ulicą Wolności i dojeżdżałem już do rogu, kiedy ów pan nagle dał znak, bym stanął. To było właśnie obok tego ogromnego składu drzewa, który pan z pewnością zna.

— Więc oni tam wysiedli?

— Wysiadła kobieta. Mężczyzna został w dorożce i kazał mi czekać.

— No, a cóż z tą kobietą?

— Podeszła ku staremu domowi po prawej ręce — w żadnem oknie nie było światła, sądzę więc, że tam wszyscy spali — i zadzwoniła do bramy. Ale jakoś nikt nie przychodził. Po chwili zadzwoniła ponownie. Wtedy ujrzałem, że w gospodzie błysnęło światło i że ktoś wyszedł bramę otworzyć, bo kobieta ta weszła do domu. Może po kwadransie powróciła, wsiadła do doróżki, a mężczyzna ów rzekł do mnie: „Proszę nas zawieść na to miejsce, gdzieśmy wsiedli“. Ja też tak zrobiłem. Jak wysiedli, pan ów dał mi dwa dolary. Więcej o nim nic nie wiem.

— Mógłbyś pan odnaleźć ten dom, do którego weszła owa kobieta? — zapytał inspektor, patrząc w oczy dorożkarzowi.

— Czemuby nie — odparł zaraz Bride. — Choćby dlatego, że tam niedawno popełniono zbrodnię, zamordowano tego Francuza, jakże on się nazywał? — zapomniałem. Czytałem o tem w dziennikach. Morderstwo popełniono nawet tejsamej nocy i w tym samym domu, tylko nieco później.

— A mógłbyś pan poznać tego pana i tę panią?

Bride namyślał się chwilę.

— Mężczyznę, może być, żebym poznał — odparł po namyśle. — Był on mniej więcej tego samego wzrostu, co pan, tylko trochę starszy i miał długą brodę. Kobieta była otulona w płaszcz, twarz miała zasłoniętą woalką, tak, że jej widzieć nie mogłem.

— Dobrze. Ale co to wszystko ma wspólnego z rewolwerem?

— Prawda, zapomniałem — rozśmiał się Bride nie tracąc bynajmniej równowagi. — To było tak: Kiedym powrócił do stajni i wyciągnąłem dywanik z dorożki, usłyszałem, że coś upadło na ziemię. Schyliłem się i zobaczyłem rewolwer. Broni nie potrzebuję, mieszkania tych dwojga osób, które musiały rewolwer zostawić, nie znałem. Zaniosłem więc ten śmiercionośny sprzęt do lombardu i dostałem zań parę dolarów. No i wszystko.

— Więc o jakiej to mniej więcej porze jeździłeś pan na ulicę Wolności?

— Koło północy.

— Skądże pan wie, że nie później?

— Ano jechałem z niemi dziesięć minut, czekałem piętnaście, to już dwadzieścia pięć. Z powrotem jechałem znów dziesięć minut, do stajni najmniej dwadzieścia, a kiedym zdejmował z konia uprząż była pierwsza. Rachunek się więc zgadza.

— Czy ta kobieta, wyszedłszy z gospody, miała co w ręce?

— Skądże ja to mam wiedzieć? Widziałem tylko jej płaszcz. Czy pod nim co miała, nie wiem. A jeżeli co miała, to chyba coś bardzo małego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy gmach Izby handlowo-przemysłowej w Krakowie.

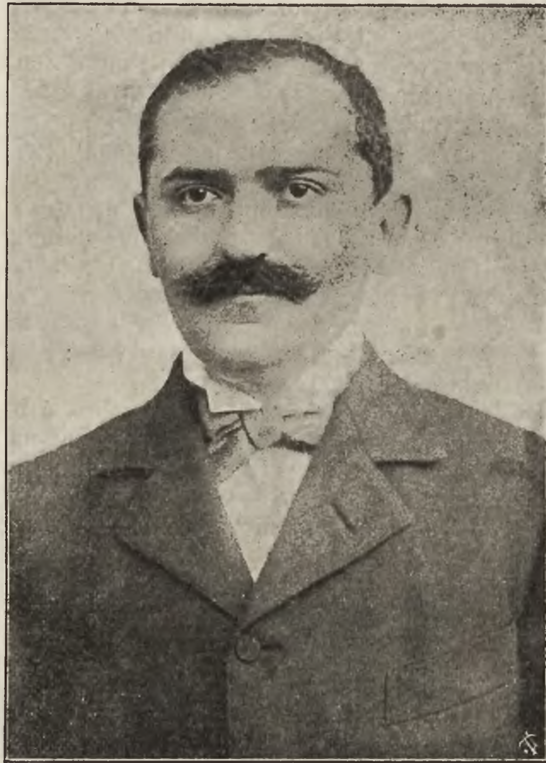
W czasach obecnych siła i potęga danego społeczeństwa zależy wyłącznie od przemysłu i handlu, jaki się w tem społeczeństwie rozwinął. U nas w Galicyi niema prawie wielkiego przemysłu i wielkiego handlu, dlatego też kraj nasz jest jednym z najbiedniejszych. W ostatnich czasach dopiero wzięto się energicznie do podniesienia u nas przemysłu, a co za tem idzie i handlu, w czem niemałą rolę, chociaż na pozór prawie niewidoczną, odgrywają Izby handlowe w Krakowie i we Lwowie.

Do środków, mających na celu popieranie stosunków ekonomicznych, należą różne społeczne urządzenia, korzystające z protekcyi państwa, z których najważniejsze są Izby handlowe. Są to zgromadzenia kupców, czuwające nad interesami i potrzebami handlu i przemysłu. Stąd ich znaczenie w naszym zwłaszcza kraju, olbrzymie.

Krakowska Izba handlowa, ciesząca się zasłużonem uznaniem wśród społeczeństwa, przystąpiła w roku ubiegłym do budowy własnego domu przy ulicy Długiej. Plany zrobił zaszczytnie znany architekt p. Stryjeński, kierownictwo budowy objął budowniczy p. Władysław Kleinberger. W 1 stopadzie z. r. gmach już był gotów i oddany został do użytku publicznego.

Gmach Izby handlowej robi na oko bardzo dobre wrażenie. Zbudowany jest na sposób zupełnie nowożytny, to znaczy, że do bud wy użyto jedynie kamieni, cegieł i żelaza. Drzewa niema nigdzie. Parter budynku zajmują wielkie sklepy, z olbrzymiemi szybami wystawowemi. Na dole również znajduje się Hala zbożowa, dla naszego handlu zbożowego takie mająca znaczenie.

Pierwsze i drugie piętro zajmują biura Izby handlowo-przemysłowej.



Nowy gmach Izby handlowo-przemysłowej w Krakowie: Sekretarz Izby handlowej, dr. Artur Benis.

Od strony ulicy Basztowej wznosi się nad gmachem zgrabna wieża z świetlnym zegarem, zakończona olbrzymim żelaznym globem, podtrzymywanym na dwóch żelaznych skrzydłach. Na szczególną zaś uwagę zasługuje okręt, jako godło handlu i przemysłu, zdobiący front fasady od ulicy Długiej. Okręt ten, zrobiony z blachy miedzianej, wykonany z stał w zaszczytnie znanym zakładzie blacharskim p. Jana Butelskiego w Krakowie, dług rysunku projektodawców p. T. Stryjeńsk i Fr. Mączyńskiego. Pracownia p. Butelskiego pod względem robót artystycznych kutych w blasze miedzianej, znana już jest w naszym kraju i na wystawie metalowej w Krakowie została za te właśnie wyroby odznaczoną.

Główna zasługa, że gmach Izby handlowej w Krakowie stanął w tak krótkim stosunkowo czasie, przypada obecnemu sekretarzowi Izby, energicznemu p drowi Arturowi Benisowi, który nie szczędził pracy i zabiegów, aby tylko zamierzone dzieło jaknajprędzej przyprowadzić do skutku.

Gmach Izby handlowej należy do rzędu najpiękniejszych gmachów w Krakowie i stanowi jednę z największych ozdób naszego miasta.

* * *

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy w dzisiejszym numerze fotografię nowego gmachu Izby handlowej, oraz sekretarza Izby dra Artura Benisa.



Fot. E Pierzchalski, Kraków.

Nowy gmach Izby handlowo-przemysłowej w Krakowie: Ogólny widok gmachu od strony plant.

Zaręczyny Alicyi Roosevelt.

Córka prezydenta Stanów Zjednoczonych, miss Alicya Roosevelt, była od kilku lat postacią, którą się zajmował cały świat.

Cóż było tego powodem?

Miss Alicya Roosevelt jest przecież dziewczyną młodą, liczy dzisiaj zaledwie 22 lat. Tak, ale miss Alicya ma duszę, która musi wszystkich pociągnąć, duszę niepospolitą, niecodzienną. W naszem pojęciu nie możnaby jej wprawdzie uważać za piękność w całem tego słowa znaczeniu, ale jest w jej drobnej twarzyczce, rozjaśni nej parą czarnych, żywych oczu, coś, co pociąga, co domyślać się każe, że jestto dama nie zwykła, nie przeciętna. Młodzieńcza bujność, jaka się przejawia w całej jej postaci, uczyniła z niej to, czem jest: najbardziej uwielbianą dziewczyną Ameryki, pierwszą z dam Nowego Jorku, będącą blaskiem Białego Domu, gdzie chylono czoła przed jej wdziękiem, oryginalną urodą i umiejętnością życia.

Nic dziwnego, że nietylko Ameryka, ale cały świat czekał niecierpliwie na wiadomość, kogo miss Alicya wybierze za małżonka. Mówiono o niej, że da a kosza jednemu z Hohenzollerów, że jakiś książę indyjski złoży u jej stóp tron i skarbiec, pełen najrzadszych kamieni drogocennych i sztab złota, mówiono, że kochają się w niej wszyscy milionerzy amerykańscy i wszyscy dyplomaci, tak, że Amerykanie poczęli sądzić, iż nie znajdą nad brzegami obu oceanów męża, godnego — córki prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wiadomość o jej zaręczynach ze słynnym wynalazcą włoskim Marconim, jaka się rozeszła przed dwoma laty, okazała się fałszywą, wzmogła się więc jeszcze bardziej ciekawość, kto będzie tym szczęśliwcem, który Alicyę Roosevelt nazwie swoją żoną.

Miss Alicya sama wybawiła Amerykanów z kłopotu, bo poszła za głosem serca, które zabiło żywiej dla brata jej przyjaciółki, Mikołaja Longwortha. Jak bowiem doniosły dzienniki przed kilku dniami — miss Alicya zaręczyła się z nim.

Szczęśliwy narzeczony liczy obecnie lat 36 i należy do zagorzałych polityków stronnictwa prezydenta Roosevelta. Z zawodu jest adwokatem, co nie przeszkadza mu jednak bynajmniej być również znakomitym cyklistą i myśliwym. Posiada on w stanie Ohio dość znaczny majątek, kto wie jednak, czy nie za skromny na oprawę takiego klejnotu, jakim jest miss Alicya Roosevelt.

W Europie nazwanoby to małżeństwo mezaliansem. W Ameryce panują jednak przekonania bardziej demokratyczne, dlatego też Yankesi przyjęli wiadomość o zaręczynach miss Alicyi z zadowoleniem. Pochlebiało to zresztą ich dumie, że gwiazda Ameryki wybrała sobie za małżonka — Yankesa.

Ślub młodej pary odbędzie się 22 lutego. Z kończy on prawdopodobnie krótką wprawdzi w całem tego słowa znaczeniu świetną kar warzyską córki prezydenta Stanów Zjedno

* * *

W uzupełnieniu artykułu zamiesz fotografie miss Alicyi Roosevelt i jej Mikołaja Longwortha.

Małżeństwo arcyksięcia Ferdynanda Karola.

Demokratyzacya pojęć i przekonań w czasach dzisiejszych przebiła nawet mury książęcych i cesarskich zamków. Dzisiejsi książęta, członkowie domów panujących, dotychczas niewolnicy zaśniedziałych form i tradycyi, krępowani w swoich nawet najbardziej ludzkich uczuciach, nawet w uczuciu miłości, coraz częściej porzucają więzy tradycyjnych zwyczajów i nieraz składają w ofierze dostojeństwa, godności i zaszczyty, byle tylko módz iść wedle własnego przekonania, za popędem serca. Przed kilku laty sensacyę obudziła w całym świecie wiadomość o małżeństwie arcyksięcia Fryderyka z panną Adamowiczówną. Małżeństwo to okupił arcyksiążę utratą wszystkich swoich godności. Obecnie przebywa stale w Szwajcaryi, gdzie pod nazwiskiem Leopolda Wölflinga wiedzie spokojny żywot w zacisznem gniazdku, wraz ze swą małżonką.

W jakiś czas po małżeństwie Wöflinga znowu wzbudziła sensacyę wiadomość o zamierzonem małżeństwie brata jego, arcyksięcia Ferdynanda Karola.

Arcyksiążę Ferdynand, jest synem zmarłego w roku 1896 arcyksięcia Karola Ludwika i księżnej sycylijskiej Maryi Annunciaty. Urodził się 27 grudnia 1868 roku. Po ukończeniu szkoły wojskowej był przez kilka lat w czynnej służbie w armii austryackiej w Wiedniu, a później w Pradze czeskiej. Tam poznał przed dwoma laty na pewnym balu, córkę profesora praskiego uniwersytetu, pannę Czubernatównę, która urodą swą i wdziękiem tak podbiła jego serce, iż arcyksiążę natychmiast oświadczył się profesorowi Czubernatowi o jej rękę. Prof. Czubernat, przekonany, że to jest tylko chwilowy szał, wytłómaczył arcyksięciu, że w takich wypadkach nie należy się spieszyć i lepiej zaczekać i całą sprawę rozważyć, zanim się poweźmie stanowczą decyzyę. Arcyksiążę Ferdynand Karol obstawał jednak stanowczo przy swoich oświadczynach. Trudności jednak powstały ze strony dworu. Rodzina arcyksięcia ani słyszeć bowiem nie chciała o jego zamierzonem małżeństwie. Ostatecznie udało się arcyksięciu w końcu przełamać opór rodziny, postawiono mu jednak za warunek, że na lat dwa wyjedzie za granicę i przez przeciąg tego czasu z narzeczoną widywać się nie [będ]dzie — jeżeli zaś i po dwóch latach przy za[m]iarze zawarcia małżeństwa z panną Czubernat [ob]stawać będzie, rodzina nie będzie robić trudności.



Małżeństwo arcyksięcia Ferdynanda Karola: Arcyksiążę Ferdynand Karol w mundurze pułkownika armii austryackiej.

Liczono na to, że przez dwa lata arcyksiążę Ferdynand Karol wyleczy się ze swej miłości i o pannie Czubernat zapomni. Tymczasem stało się inaczej.

W ubiegłym miesiącu powrócił arcyksiążę do Wiednia i rozpoczął starania oficyalne o pannę Czubernat. Jak słychać, cesarz Franciszek Józef I. nie ma zamiaru niszczyć szczęścia arcyksięcia i na małżeństwo to się zgadza. Ślub arcyksięcia ma się odbyć w najbliższych tygodniach.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię arcyksięcia Ferdynanda Karola.

Chuligani a ludność prawosławna.

Co to byli chuligani i jak się na kartach dziejów ostatnich miesięcy 1905 roku w Rosyi zapisali, o tem już pisać nie potrzebujemy. Trzeba jednakże zaznaczyć, że rewolucya, aczkolwiek krwawa, nie wyrządziła państwu rosyjskiemu tyle szkód, nie zrujnowała tak doszczętnie najpiękniejszych miast rosyjskich, jak to uczynili chuligani.

Chuligani rozpoczęli krwawe swoje rzemiosło w Odessie i w przeciągu kilku dni zniszczyli to, niedawno tak życiem kipiące, przepiękne, bogate miasto, mogące słusznie zaliczać się do pereł korony cesarza Wszechrosyi. Z Odessy wyszło hasło do mordów i rabunków, biegnąc straszliwem echem po całem państwie rosyjskiem.

Początkowo ostrzec nienawiści tych szumowin społecznych zwrócił się przeciw żydom i studentom, później rozzuchwalone hordy rozbójników zabrały się do rzezi robotników rewolucyonistów, aż wreszcie w niektórych miastach, jak n. p. w Kijowie, doszło do tego, że przez kilka pierwszych dni listopada nikt nie był pewny ani mienia ani życia.

Biedniejsza, prawosławna ludność Kijowa, a zwłaszcza jego przedmieść, widząc, iż chuligani mordują nie tylko innowierców, ale nawet prawosławnych, chwyciła się w ostatecznej chwili ratunku, jaki jesz ze pozostał. Oto powystawiała w oknach i bramach domów obrazy świętych, w nadziei, że przecież tem motłoch, z jakiego się składały czarne sotnie, uszanuje święte religijne obrazy, że nie będzie śmiał podnieść ręki na domy, które opiece orędowników niebieskich poruczono.

Nadzieje nie zawiodły. Okazało się raz jeszcze, że człowieka nieoświeconego, ciemnego, zdoła jeszcze w ryzach moralności trzymać jedynie wiara. Bo chuligani, aczkolwiek podnieceni krwią i pijani szałem, przeciągali obok tych domów, nie czyniąc im najmniejszego uszczerbku, pozostawiając w spokoju całe rodziny, któreby z pewnością byli wymordowali, gdyby ich nie powstrzymał widok świętych obrazów. Nie zaszedł bowiem ani jeden wypadek, aby chuligani napadli na dom, opiece świętych poruczony.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok ilustracyę, przedstawiającą jednę z przedmiejskich ulic Kijowa, przy której wszystkie domy były udekorowane obrazami świętemi, jako talizmanami przeciw chuliganom.

[Ch]uligani a ludność prawosławna: Jedna z przedmiejskich ulic Kijowa, na której wszystkie domy udekorowano obrazami świętymi w obronie przed chuliganami.

Zygzakiem.

Z roku na rok i dlaczego właściwie ludzie się cieszą oraz dlaczego sobie życzą? Austrya wchodzi w nową fazę nadziei, co powoduje ciężką troskę pp posłów o mandaty a nadmierne apetyty nowych kandydatów. — Żałoba narodowa czy tylko półkarnawałowy smutek, jako objawy taniego patryotycznego sentymentalizmu.

Całą dobę a głównie przez całą noc sylwestrową łamałem sobie głowę. w jakiby to sposób przemówić z tych łam do szanownych czytelników, aby to było inaczej, niż wszystkie noworoczne ciepłe piwa i limoniady, podawane ludziom na szpaltach dzienników. Żal mi bowiem tych, którzy muszą odrazu u progu nowego roku dławić się powodzią frazesów i w bezgranicznej pustyni bezmyślności i nieszczerości łykać tumany kurzu, rozwiewane z kupek wielkiego kłamstwa powietrzną trąbą blagi. I myślałem sobie w duchu: Jacy szczęśliwi są w tych dniach owi wierni rządowi i stańczykom przy wszelkich wyborach analfabeci!“ Nie będą wcale czytać, bo nie mogą! I wiecie kochani a cierpliwi czytelnicy, że niczego wymyśleć nie mogłem, doszedłem bowiem do przekonania, że blaga noworoczna stała się zwyczajem, potrzebą, koniecznością, że „nie życzyć“ w ten dzień nie można, a ktoby chciał się zabawić w szczerego i odważył się powiedzieć swojemu np. konkurentowi w zawodzie, to samo co myślał o nim przez cały ubiegły rok, a co jest mniej więcej zgodne z tem, co nawzajem myślał także ów pan konkurent o swoich konkurentach — ten naraziłby się conajmniej na skargę o obrazę czci, polegającą na „niesłusznem“ podejrzeniu o zły i pogardliwy sposób myślenia... Przeciwnicy, przybywszy do sądu w asystencyi adwokatów, sierdziliby się ogromnie: „jak można panie, porządnemu obywatelowi, Polakowi, którego przodkowie krew za ojczyznę przelewali, zarzucać, że pragnie zguby swojego konkurenta vis a vis, że mu życzy, aby „złamał kark“ zamiast długiego życia, dobrego zdrowia i zwycięstwa nad innymi konkurentami!...“

Nie czas ani miejsce do omawiania wszystkich możliwych następstw niewczesnej szczerości. Sądzę, że to, co już powiedziano, przekonało chyba każdego. że na nowy rok nie wolno być innym, niż wszyscy, t. j. szczerym a trzeba być takim, jak była większa część artystów teatru miejskiego przy opłatku wigilijnym, urządzonym przez dyrekcyę, przy której to uroczystości pito piwo p. Solskiego (asti spumante będzie na drugi rok) i życzono mu szczęścia, zdrowia, pomyślności i co najmniej 12 letniej dyrekcyi — z „całego serca“.

Skoro zatem nie mogę znaleźć innej formy odezwania się do naszych czytelników, prócz tej, która im jest najmilsza a która mojem zdaniem nic nie jest warta, bo na pustym polega frazesie, przeto lę... „milczeć i cierpieć“. Cierpieć dlatego, że nie mogę powiedzieć tego, do czegob m miał ochotę. Nie mogę zaś dlatego, bo redakcya napisałaby mi list z wyrzutami ten mniej więcej treści: „Co pan sobie właściwie myśli? Czy pan chcesz, żeby w redakcyi „Nowości“ wybito szyby i aby prenumeratorzy z rzucili nas kartkami, z widokami wprawdzie, ale i z wypowiedzeniem prenumeraty? Czy pan, jako wytrawny dziennikarz, o tem nie wie, że takie rzeczy można sobie myśleć, ostatecznie po cichu nawet o nich mówić, ale pisać i drukować ich nie wolno, ponieważ nikt nie jest obowiązany słuchać prawdy dlatego, że panu przyszła nagle ochota być szczerym, a powtóre pismo jest przeznaczone dla polskich czytelników a ci więcej niż którzykolwiek na świecie lubią, aby im prawić dusery, kadzić im, co drugie słowo pisać: „nasz wielki naród“, „nasz“ przemysł, „nasi“ mężowie stanu, „nasz“ sejm, „nasze“ koło polskie, „nasze“ kobiety i t. d. i t. d. Wobec takiego artykułu, jaki pan na Nowy Rok napisałeś a który obraża wszelkie „uczucia“, dziękujemy panu za dalsze współpracownictwo, łącząc zapewnienia prawdziwej sympatyi i uczucia dla pańskiego talentu“...

Aby takiego listu nie dostać, a więc przyznaję, ze względów utylitarnych oraz także dlatego, że z nowym rokiem sam sobie życzę, aby mi się nadal powodziło i by moje artykuły były drukowane i czytane — wolę, jak już powiedziałem — milczeć i cierpieć“... Ale i życzyć nie będę...

Chcę natomiast zastanowić się nad pytaniem, dlaczego właściwie ludzie cieszą się z Nowego Roku i dlaczego życzą sobie takic rzeczy, jak np. sto lat zdrowia, 100 000 koron majątku, dobrych, ładnych i bogatych żon, nie patrzących na posagi zięciów i t. p., a dlaczego nie życzą sobie równie możliwych a znacznie ciekawszych, a nawet bardziej upragnionych i piękniejszych rzeczy, jak np. szczęśliwej podróży na księżyc, kartek z widokami z Marsa, nagłego zgonu bogatych teściów, wiecznej młodości, częstego ożenku i t. p. Życzenia takie byłyby równie logiczne. jak te pierwsze a znacznie oryginalniejsze. a sama daleka nadzieja ich spełnienia, uradowałaby niejedno stęsknione serce. Nie wiem też dalipan, dlaczego ludziska w ten Nowy Rok wszyscy chodzą uradowani, uśmiechnięci. tak jakby w ich życiu rok ubył a nie przybył, jakby młodnieli a nie starzeli się, i jakby naprawdę szare, smutne, pełne walk i niepewności życie ulegało z tym jednym dniem jakiej zmianie!.. I jeszcze jedno na dowód mojej tezy. Wyobraź sobie. kochana czytelniczko, takie wydarzenie: „Idziesz w Nowy Rok plantacyami, koło sadzawki, względnie koło umarłego wodotrysku. Idziesz ostrożnie żeby się nie pośliznąć, bo wedle zwyczaju starodawnego (my lubimy dawne rzeczy á la kościół św. Idziego, wstępne artykuły „Czasu“ i t. p.) miasto niechętnie posypuje piaskiem oślizgłe chodniki. Przez to chce bowiem wyszkolić naród do czuwania w myśl pisma: „Módlcie się i czuwajcie“.

Idziesz tedy, kochana czytelniczko, ostrożniutko, patrzysz, kto drepci naprzeciw ciebie, takim samym drobniutkim, ostrożniutkim kroczkiem?... Kumcia, twoja serdeczna przyjaciółka, równie jak ty ładna, inteligentna, członek wydziału stowarzyszenia głoszenia sławy pani Bujwidowej, równie uwielbiana za krasomówstwo, ładną nóżkę, rączkę i piękne kształty. A więc, a więc... moja droga, moja kochana, życzę Ci wszystkiego najlepszego, czego sobie sama życzysz, a przedewszystkiem 100 000 koron głównej wygranej“. — „Ach ty brzydka materyalistko“ odpowiada Kumcia, ściskając się serdecznie... No, no, no, moja droga, moja kochana i t. d. i t. d.

Rozchodzcie się... Za parę dni spotykasz, kochana czytelniczko, Kumcię, rozpromienioną, szczęśliwą.. „Wiesz, Dziuniu, jak ty mi szczęśliwie życzyłaś... wyobraź sobie, los, który miałam, wyszedł, wygrałam 100.000 koron“.

„Taak, ty żartujesz“. „Ależ nie, nie, jestem szczęśliwa — daj mi buzi dziękuj, ci.. I jeszcze coś więcej ci powiem. W dwa dni później zakochał się we mnie jeden śliczny porucznik od artyleryi... Występuję od Bujwidowej, idę za mąż.. mój narzeczony przekonał mnie, że kobiety, które mają pieniądze, nie potrzebują zdobywać żadnych praw, bo one właśnie dyktują prawa“...

Nie pytam cię, kochana czytelniczko. co sobie myślałaś po tem spotkaniu, bo wiem aż nadto dobrze. Przyszłaś do domu, taka smutna że, aż sąsiadka z ganku przechodząc, odrazu to zauważyła, nie chciałaś jeść podwieczorku, usiadłaś w salonie przy oknie, patrzyłaś na zachodzące słońce przez zakwiecone mrozem szyby i myślałaś: „Kto wie, czy byłaby wygrała, gdybym ja jej tego nie życzyła... Moje życzenia zwykle się spełniają, o ile odnoszą się nie do mnie... No, ale któżby przypuścił, że coś takiego także się spełni... Ach, gdybym przeczuła, wolałabym sama sobie ugryźć cały koniec języka“... „S rach, strach... Człowiek ani wie, kiedy go nieszczęście spotka“...

— — — — — — — — — — — — —

Tak wyglądają w praktyce, noworoczne życzenia...

Rzeczywistość wśród jakiej żyjemy u świtu Nowego Roku w naszej c. k. ojczyźnie, jest dla „najlepszych i „wybranych“ z narodu, raczej smutna niż wesoła. Cóż z tego, że c. k. ojczyzna matka dla Niemców, macocha dla Włochów i południowych Słowian. mamka dla Czechów, a niedbała niania dla nas Polaków — promienieje nadziejami z powodu reform jakie zapowiedział jej Benjaminek baron Gautsch... Nadzieje te niepokoją naszych wybranych w narodzie, trwożą wielu posłów z „woli ludu“, są wprost groźne dla polityków w stylu p. Piotra Górskiego... Co będzie z mandatami? A gdyby Boże broń reforma wyborcza usunęła ich od życia publicznego, gdyby nie było im danem za te skromne dyety poselskie sprawować nadal poselskich obowiązków... Co wtedy? Z jakąż troską trzeba patrzeć w przyszłość tego biednego narodu! Co się stanie z zamierzonemi interesami za osobiste „usługi? Co będzie z awansami wszystkich kuzynów — pracujących po ministeryach i w dyplomacyi? Nie dziwcie się kochani czytelnicy, że wobec takich piekielnie retorycznych pytań, nawet „Czas“ stracił swoją mowność, a prezes Koła polskiego od pewnego czasu stale mówi od rzeczy. Żeby choć to zmieniło się z Nowym Rokiem... Mogę wam tego życzyć, wy starsi bracia nasi, bo spokojnym jestem, że te życzenia nie ziszczą się z pewności!...

W selej choć także w stronę niepewności spoglądają ku nowemu latu, nowi kandydaci na poselskie mandaty. Tym słusznie płynie ślinka na godność rzeczników ludowych, jako, że można dojść do czegoś, nie wiedząc kiedy i jak. Pojawiają się też już kandydatury na własną rękę. Pewien pan z Krakowa, były adjunkt sądowy, urządził już kilka zgromadzeń wyborczych pod Karpatami, pod hasłem: „Kochajmy się, nie dajmy się“ i przyrzekł wyborcom nie tylko dobrobyt, ale także szczęście i zadowolenie, oraz długie i wesołe życie — byleby jemu powierzono mandat... Zgromadzeni, przyszli wyborcy, domagali się natarczywie zaliczki, jako znaku, przy pomocy którego mogliby zapamiętać sobie szanowną postać kandydata Kandydat ofiarował tylko marny poczęstunek. Wówczas jeden z wyborców odezwał się: „Wybierzemy pa[illegible] posłem, dlaczego nie — jeno musi pan znaczni z nami gad ć... Minęły te czasy, jak tylko pra[illegible] borcy pili piwo i jedli kiełbasę. Teraz jest k[illegible] powszechna to i ugoszczenie „powszechne być mu si“. Pan kandydat wrócił z długim nosem do Krakowa i teraz jest pod bno w poszukiwaniu za stronnictwem, któreby uwierzywszy w jego bezinteresowność, przygarnęło go do siebie... Ten dopiero się troszczy, co też będzie, co przyniesie rok nowy, czy naród przebudzi się i pozna kędy jest ten, co go zbawi?

Atoli najważniejszą sprawą porządku dziennego jest obecnie u nas w kraju kwestya żałoby, czy też smutku narodowego z powodu, że część narodu polskiego walczy o wolność i prawa. Przy walce padają ofiary, jest to zupełnie logiczne i naturalne. Walczyć jest przeznaczeniem jednostek i ludów, więc i to zupełnie w porządku. Sądzę nawet, że wszelka walka jako objaw poczucia własnej siły czy dążeń, jest objawem dodatnim, pocieszającym. A wreszcie w nowem położeniu politycznem, chyba niepodobna pomyśleć nawet o zmianie na lepsze bez trudu i walki... Stąd znowu wynika jasno, że taka walka choć krwawa, choć ofiar żądna, choć długa i niepewna, przecież na ogół jest raczej powodem do radości, niż do smutku, taka walka napełnia dumą i otuchą serca, bo gdy zwyciężą ci co ją podjęli, jasna zorza jasnej przyszłości zabłyśnie całemu społeczeństwu.

Nakoniec, czy w czasach najspokojniejszego najbardziej zgniłego ucisku nie giną także [illegible] wśród katastrof wszelkiego rodzaju, czy w [illegible] zeszłym podczas ożywionego [illegible] padały setki i tysiące polskich synów na dalekich wschodzie w walce stokroć straszniejszej, bo [illegible] celów obcych i bezrozumnych? Czyż co roku [illegible] traci każde społeczeństwo znacznej ilości ludzi ważnych, znaczących, znamienitych, których strata jest bardzo ciężką? A przecież nikomu nie śni się o jakimś zbiorowym smutku lub żałobie. Życie nasze splata się z bólów i radości, ale jest ono dla żywych, którzy przeżyliby żyć, gdyby zmuszali się wprost do smutku z powodu wydarzeń, ze stanowiska ogólnego wcale nie smutnych. Dlaczegoż więc żywym, żądnym życia i tak już dosyć smutnym przez to, że muszą każdy za siebie wiele przecierpieć, odmawiać prawa kilku chwil zabawy, rozrywki zapomnienia o troskach! Kto wie, czy na nich samych nie przyjdzie czas, kto y z kolei ich zmusi do walk, cierpień i ofiar! Dlatego sądzę, że głoszenie po raz nie wiem już który od lat dziesięciu, narodowej żałoby, czy jakiegoś zbiorowego smutku i w tym roku jest wprost nonsensem, nielogicznym wymysłem patryotycznych sentymentalistów, którzy nie chcą czy nie mogą zrozumieć że wszelkie smutki i żałoby ogólne, są szkodą dla społecznego życia. Nie rozpamiętywać ale działać, nie posypywać głów popiołem, ale wśród walk ofiar rażnie i wesoło patrzeć w przyszłość, ni boleć bezmyślnie nad tymi, co ochotnie poszli i zgon, ale w energii i prawdzie ż cia czerpać otuchę i odwagę do takich samych poświęceń, gdy tego będzie potrzeba — oto kierunek dla myśl polskiej na dziś.

Dosyć już tego jęczenia, dosyć żał bnych [illegible]cznic, skarg, katafalków. Budzi się nowe mi[illegible] życie. Kto powołany, by dzisiaj już walczył, ni[illegible] walczy, kto wierzy w zwycięstwo dobrej spra[illegible] i z jej postępów się cieszy — zanim go los [illegible] boju i ofiar zawoła — niech się weseli...

Vid



Losowanie pożyczki premiowej miasta Krakowa.

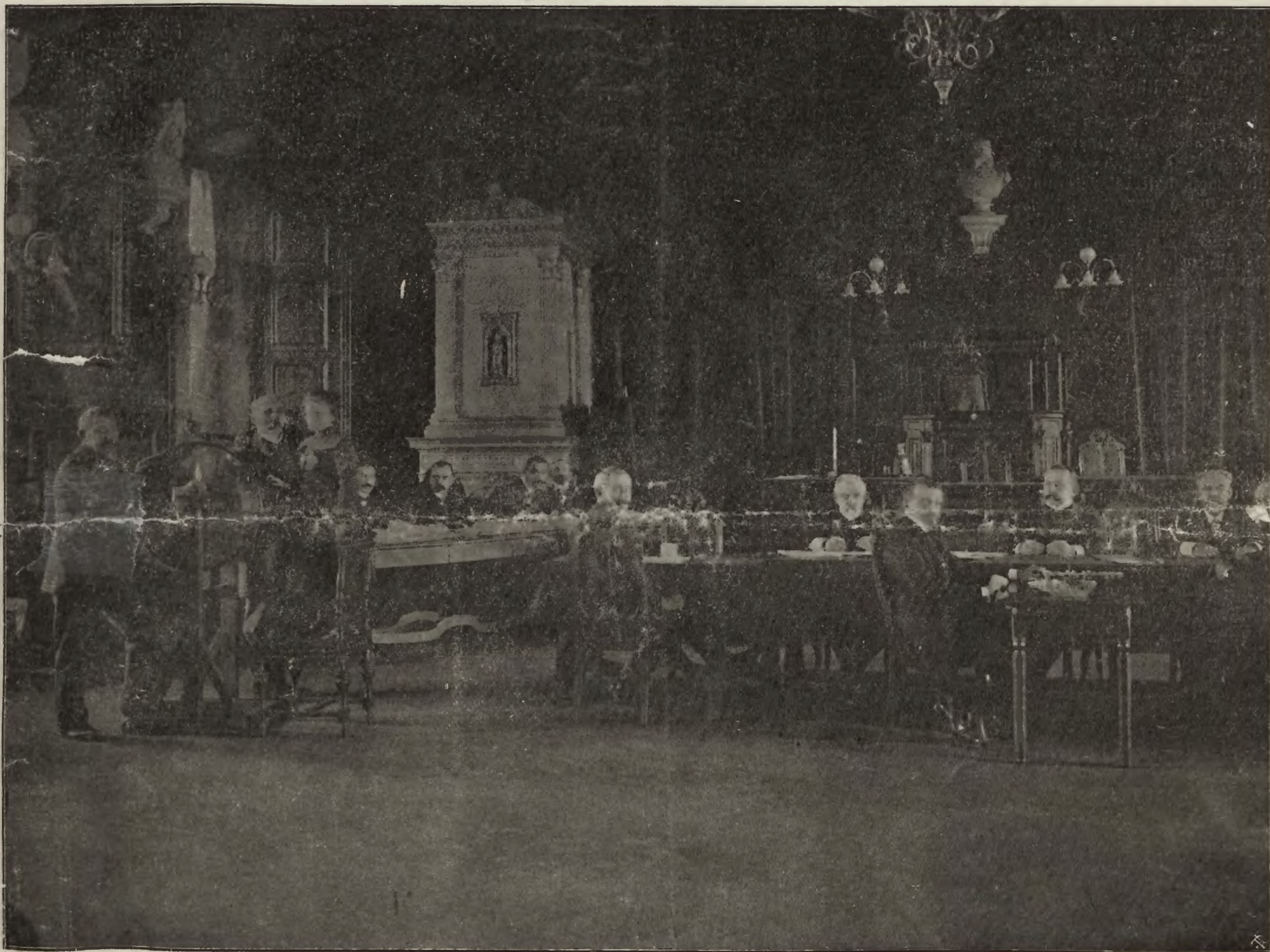
Dnia 2 stycznia odbywa się od szeregu lat sali Rady miejskiej w Krakowie losowanie pożyczki premiowej naszego miasta. Losowanie to charakter nadzwyczaj poważny i połączone jest pewnego rodzaju uroczystością, ściąga też corocznie do sali losowań liczną publiczność. Iluż to dzi cieszy się w ten dzień nadzieją, że może fortuna do nich się nareszcie uśmiechnie i na los, ich posiadaniu będący, padnie wygrana! Kto lko ma los krakowski, ten spieszy do sali losowań, wiedziony ciekawością, z drżeniem w sercu, któż mu zaręczy, czy powracając, nie będzie ż miał kilkud iesięciu tysięcy koron w kieszeni.

I w roku bieżącym dnia 2 stycznia, tj. w ubiegły wtorek, odbyło się losowanie losów krakowskich. Losowaniu przewodniczył prezydent miasta dr. Leo w obecności radców miejskich pp. Schwarza i Uderskiego, notaryuszów pp. Klemensiewicza ...czewskiego, oraz zastępcy naczelnika wy... obrachunkowego miejskiego, p. Życińskiego. ... załączonej obok ilustracyi widać najlepiej, się losowanie odbywa. Uwaga wszystkich zgromadzonych na sali osób, skupia się przedewszystkim na „koło szczęścia", w którem mieszczą się ...era losów. Na stołku, obok koła szczęścia, stoi ...wczynka, sierota, najwyżej 7-letnia, która wy...a z koła zwitki papieru, w których napisane ...umera, poczem oddaje je prezydentowi miasta, ...y numer głośno odczytuje.

Chwila ciągnienia losów jest nadzwyczaj uro...ta. Na twarzach zgromadzonych przebija się ...ność, nerwowe oczekiwanie. Cisza zalega ... salę, zdaje się, że słychać bicie serca każdego. ...ystkich oczy ścigają małą rączkę dziewczynki, ... wyciąga numera. Naprężenie wszystkich ...ta jeszcze bardziej, kiedy prezydent rozwija ...czkę i ma odczytać wygrywające numera

W ciągnieniu z ubiegłego wtorku główna wygrana, w kwocie 50000 koron, padła na los numer 8719, druga wygrana w kwocie 6000 koron padła na numer 52614. Ponadto wylosowanych zostało pięć numerów, wygrywających po 1200 koron. Przez pięć dni następnych odbywało się ciągnienie losów, wygrywających po 60 koron.

Z mieszczona w uzupełnieniu niniejszego artykułu rycina przedstawia uroczystość ciągnienia losów w dniu 2 stycznia b. r.



Fotografował T. Jabłoński Kraków.

Losowanie pożyczki premiowej miasta Krakowa: Uroczystość ciągnienia losów dnia 2 stycznia b. r. w sali Rady miejskiej w Krakowie.

Watykan a Polacy.

Naród polski łączą od wieków węzły najszczerszego przywiązania i miłości ze stolicą apostolską. Rola, jaką Polska, jeszcze jako państwo niezawisłe, odegrała w dziejach rozwoju katolicyzmu w środkowej i wschodniej Europie, musiała spowodować to zacieśnienie się serdecznych węzłów między narodem, który wiary chrześcijańskiej bronił jak lew, który sztandar Chrystusowy niósł między ludy dzikie i pohańce, a stolicą Piotrową. W czasach najbardziej dla naszego narodu nieszczęśliwych, w czasach niedoli i walki, zawsze ze stolicy apostolskiej w Rzymie spływały na nas słowa pociechy, ukojenia, wiary w szczęśliwą przyszłość i błogosławieństwa bożego, które wlewało w nas siłę do zniesienia najstraszniejszych nawet niepowodzeń i kazało jasnem okiem patrzeć w przyszłość, wlewało w nas ufność w opiekę bożą, najpewniejszą na ziemi.

Chwila obecna jest dla naszego narodu znowu jedną z przełomowych. Część Polski, zostająca pod berłem rosyjskiem, odegrała w ogólnym ruchu, jaki teraz ogarnął całą Rosyę, niepoślednią rolę i zmusiła nietylko rząd rosyjski do zajęcia się „krajem przywiślańskim", ale zwróciła znowu oczy całego świata na Królestwo Polskie, a temsamem na cały nasz naród. I w tej chwili odezwał się do nas znowu głos ze stolicy Piotrowej, na który, przyznać trzeba, czekaliśmy od kilku miesięcy z utęsknieniem.

Pius X niejednokrotnie już okazał swoją sympatyę do naszego narodu, niejednokrotnie dawał już dowody, że Polacy, jako naród nieszczęśliwy i cierpiący, bliżsi są jego sercu, aniżeli inne narody, mogące się swobodnie rozwijać, bo nie zmuszone do ustawicznego wytężania sił w jednym głównie kierunku, mającym na celu utrzymanie najdroższego klejnotu, języka i ducha narodowego w czasach nieszczęść i walki. W ostatniej jego encyklice, specyalnie do Polaków zwróconej, przebija się miłość, jaką papież żywi dla naszego narodu, z każdego wiersza. Pius X zwrócił się do nas, do Polaków, w chwili najcięższej narodowej walki w Królestwie Polskiem, jak ojciec do swoich dzieci, ze słowami życzliwej opieki i napomnienia, ze słowami szczerej, Chrystusowej miłości do swoich dziatek. Społeczeństwo polskie znajduje się dzisiaj w stanie takiego podniecenia i napięcia, w jakim się nie znajdowało od szeregu lat Głos Piusa X w tej chwili nabiera jeszcze większego znaczenia i to tłómaczy owo oczekiwanie, z jakiem wyglądaliśmy tej encykliki

W uzupełnieniu niniejszego artykułu podajemy obok portret ojca św. Piusa X według najnowszej fotografii.

Uczczenie jubilatów Tow. weteranów wojskowych w Krakowie.

Pierwsze Towarzystwo weteranów wojskowych w Krakowie, założone w roku 1875, obchodziło w ubiegłą niedzielę rzadką uroczystość. W tym bowiem odznaczeni zostali medalami p... wymi ci członkowie towarzystwa, któr... i więcej lat należą.

Towarzystwo weteranów, mając... sto humanitarny, składa się w pr... z ludzi ubogich, którzy młode lata s...

wojskowej. W towarzystwie, do którego miesięczna wkładka wynosi zaledwie 1 koronę, otrzymują członkowie w razie choroby wsparcie dzienne w kwocie 80 halerzy, oraz lekarza i lekarstwa bezpłatnie. Na wypadek śmierci Towarzystwo sprawia zmarłemu członkowi pogrzeb i wypłaca wdowie odprawę, która dzisiaj wynosi 153 korony. Jest to więc towarzystwo, które własną pracą swych członków, wspiera się wzajemnie i przez to już zasługiwałoby na szczególną uwagę społeczeństwa. Opiekując się bowiem ubogimi członkami, spełnia jedno z najważniejszych obowiązków społecznych. I dziwna rzecz. Właśnie to towarzystwo, aczkolwiek tak przez swoją działalność zasługujące na uznanie, spotyka się na każdym kroku z obojętnością i lekceważeniem. Byłby czas, abyśmy wreszcie mogli się wyzbyć szablonowych wstrętów i zdobyli się na sprawiedliwe ocenianie zasługi.

W gronie członków Towarzystwa znajduje się 18 członków, którzy należą do Towarzystwa pokaźny szereg lat, bo albo sami byli inicyatorami zawiązania się tego towarzystwa, albo też jedni z pierwszych doń przystąpili. Celem uczczenia jubilatów postanowił komitet udekorować ich pamiątkowymi medalami, a uroczystość ta odbyła się właśnie w ubiegłą niedzielę w sali Strzeleckiej.

Przebieg uroczystości był nader poważny i świąteczny, a przytem dziwnie jakoś ciepły. Naprzód prezes Towarzystwa p. Staszczyk, znany i powszechnym w Krakowie otaczany szacunkiem inspektor straży akcyz. miejskiej, przemówił w krótkich słowach do jubilatów, przypominając im, że udzielenie im pamiątkowych medali ma dla nich być bodźcem do dalszej energicznej i w owoce obfitej pracy około rozwoju towarzystwa. Potem orkiestra towarzystwa odegrała hymn ludowy i marsz Radeckiego, wreszcie nastąpiło rozdzielenie medali, którego dokonał prezes. Przemawiali jeszcze



Watykan a Polacy: Jego Świątobliwość Papież Pius X.

pierwszy kapitan weteranów p. Winczek, oraz jeden z jubilatów, wiceprezes pan Klewski, który w serdecznych słowach złożył Towarzystwu podziękowanie na urządzenie tej uroczystości.

Protektorem Towarzystwa jest cesarz Franciszek Józef I. W uroczystości brał więc udział zastępca delegata c. k. starosty krakowskiego, dr. Władysław Mięsowicz, komisarz powiatowy.

Do podniesienia uroczystości przyczynił się niemało fakt, że połączono z nią uroczystość wspólnego tradycyjnego polskiego opłatka. Na zakończenie uroczystości odbyła się wieczorem zabawa z tańcami.

* * *

W uzupełnieniu artykuliku podajemy w dzisiejszym numerze zdjęcia, przedstawiające członków Towarzystwa, oraz gości biorących udział w niedzielnej uroczystości, jakoteż fotografię grupy jubilatów, udekorowanych pamiątkowymi medalami.

Przesilenie węgierskie.

Półtora roku już minęło, od czasu, kiedy naród węgierski rozpoczął walkę o komendę węgierską w armii i o szereg innych postulatów narodowych węgierskich, a dzisiaj jeszcze nie widać dnia, kiedy przesilenie to, którego ofiarą padły już dwa gabinety ministeryalne, dojdzie do końca. Przyznać trzeba, że do walki wystąpiły dwie potęgi, że więc zwycięstwo jednej czy drugiej strony jest ogromnie trudne.

Skoalidowana opozycya, na której czele stoją ludzie tak wybitni i tak w Węgrzech popularni, jak Kossuth, syn owego bohatera węgierskiego, którego pamięć do dziś dnia żyje w sercach całego narodu, jak hr. Apponyi, Andrassy i inni, członko-

Fot. E. Pierzchalski Kraków.

…owarzystwa weteranów w Krakowie: Członkowie Towarzystwa, oraz goście, zebrani przed salą strzelecką podczas uroczystości jubileuszow…

najznakomitszych rodów węgierskich, prze-
ła się dopiero w kilku ostatnich miesiącach
zie, że hasła, pod jakiemi wystąpiła do walki
oną nalazły głęboki oddźwięk u całego na-
, czego się może spodziewała, ale czego nie
pewną. Koalicya wezwała cały naród do walki
ród usłuchał. Odmówił poboru rekruta, odmawia
płacenia podatków, stanowiąc przez to silną
w ręku swoich przedstawicieli w sejmie.
a ta ogarnęła w ostatnich czasach całe Wę-
a tego się nie spodziewała nawet koalicya.
mówić dopiero o koronie, dla której stanowisko
łu węgierskiego było co najmniej niespo-
ką.

dziwy monarcha, Franciszek Józef I na któ-
dostojną głowę w ostatnich latach tyle spadło
ęść, nie chce ustąpić zwycięskiej na każdym
opozycyi, nie chce bowiem rozrywać prze-
ystkiem jedności armii, której jest naczelnym
zchnikiem i opiera się stanowczo wprowadze-
omendy węgierskiej, która to kwestya wysu-
się obecnie na czoło postulatów opozycyi
cya zamiast się polepszyć, zaostrzyła się
atnich czasach do tego stopnia, że zaiste
przewidzieć, jak się zakończy przesilenie
skie, które już dotychczasowym swoim prze-
m wywarło na politykę austryacką tak wielki

anciszek Kossuth, głowa opozycyi, wyraził
Nowy rok, że „na przyszłość można ocze-
tylko dalszego ciągu walki". Jest to zapo-
bardzo smutna dla rządu wiedeńskiego, który
przez wmięszanie się w sprawy węgierskie
czterema miesiącami, walkę zaognił. Usiło-
w rawdzie próbować kompromisu, usiłowano
cyą zawrzeć ugodę na pewnych, przez mo-
określonych warunkach, ale próby kompro-
ie doprowadziły do niczego i nie stworzyły
podstawy do przywrócenia spokoju na
ech.

ostatnich dniach rozeszły się pogłoski, że
eckerle, jeden z najwybitniejszych polityków
rskich, podjął się pośrednictwa między koroną
licyą. Pogłoski te nie zostały sprawdzone.
zeba przyznać, że mają pewne uzasadnienie,
Veckerle cieszy się bowiem wielkiem powa-



Przesilenie węgierskie: Przyszły domniemany „homo regius" dr Weckerle.

żaniem i zaufaniem u koalicyi i jeżeli komu, to jemu właśnie może się udać pogodzenie koalicyi z koroną i zażegnanie tak długiego przesilenia.

Wprawdzie przyznać trzeba, że misya pośrednictwa między koroną a koalicyą nie jest wcale łatwą, a dr. Weckerle nie ma, jak sądzimy, zamiaru, narażać się niepotrzebnie opozycyi i stracić to zaufanie i powagę, jaką sobie już zdołał wśród niej wyrobić. To jedno, coby najbardziej przemawiało za tem, że dr Weckerle nie zechce się podjąć tej misyi.

Poprzednio misyi tej podejmowali się już różni wybitni politycy węgierscy, jak hr. Czaky, jak były minister Luckacs, ale usiłowania ich spełzły na niczem. Sytuacya zaś dzisiejsza nie rokuje bynajmniej nadziei, aby się teraz udało przyjść do kompromisu.

Jeżeli dr. Weckerle misyi się podejmie, to przypuszczać można na pewno, że w każdym razie wywoła jego misya w opozycyi znacznie lepsze wrażenie, aniżeli misya jego poprzedników, a to dzięki osobistym jego zaletom.

Dr. Weckerle, jako dyplomata i polityk, znany jest ze swego sprytu i kolosalnych zdolności. Niejednokrotnie już miał sposobność okazać dowodnie, iż umie pogodzić obowiązki obywatela państwa austro-węgierskiego z obowiązkami węgierskiego patryoty.

I chociaż w ostatnich miesiącach nawet najbardziej lojalni posłowie i politycy przyłączyli się do koalicyi, dr. Weckerle umiał tak zręcznie manewrować, że nie naraził się ani jednej, ani drugiej stronie walczącej.

To właśnie był powodem, że w ostatniej, decydującej chwili, oczy dworu wiedeńskiego zwróciły się na Weckerlego.

O ile pogłoski o jego pośrednictwie się sprawdzą, można mieć nadzieję, że przesilenie węgierskie w każdym razie zbliży się do końca.

* * *

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię domniemanego przyszłego *homo regius'a*, dra Weckerlego.



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Uczczenie jubilatów Towarzystwa weteranów wojskowych w Krakowie: Grupa odznaczonych medalami pamiątkowymi jubilatów, z prezesem Staszczykiem oraz zastępcą delegata p. Męsowiczem na czele.

Plotki lwowskie.

(Sylwester we Lwowie. — Po mozolnych świętach. — Podwójna północ. — Życzenia i napiwki. — Podzielone zdania. — Reduty sylwestrowe. — Smutny powrót. — Poranek noworoczny. — Ilu mamy przyjaciół? — Dozorca pragnie mojego dobra. — Długo oczekiwany kominiarz. — Podział listonoszów. — Galerya życzliwych. — Dozorczyni z podwójną buchalteryą. — Kataryniarz i jego spólnik grożą mi strejkiem. — Narzekania na nowy czas śr. europ. — Trafne obliczenie i defraudacya 72 minut. — Stała biegunka zegara bernardyńskiego. — Dyskretni egzekutorowie miejscy. — Towarzystwo popierania ruchu obcych i jego zadania. — Co myśli obcy o Lwowie, a co pisze w testamencie? — Jakie powinny być zadania tego towarzystwa? — Straszydło z cennikiem).

Sylwestra obchodziliśmy w tym roku tak uroczyście, jak może żadne inne święto narodowe, jak zresztą co roku a może nawet okazalej. Wszyscy ci, którzy po mozolnych świętach przyszli już do siebie i odzyskali mniej więcej wszystkie zmysły, potracili je z kretesem owej pięknej, mroźnej nocy, żegnając rok stary a witając nowy, nieznany, zagadkowy...

We wszystkich kawiarniach, restauracyach i lokalach, które słusznie nazwano raz na zawsze publicznymi, kipiało życie, srebrzyło się wino, pienił szampan, dymiła kawa i herbata i łysiny grzmiała muzyka wojskowa, cywilna i damska, sypały się życzenia, życzenia, życzenia, napiwki, napiwki, napiwki...

Humory wesołych sylwestrowiczów rosły w miarę zbliżania się magicznej godziny dwunastej, którą każdy nawet nie pijany wyjątkowo w tym roku widział i słyszał podwójnie (pijani poczwórnie). Ale pod tym względem zdania były podzielone. Jedni twierdzili, że należy pogasić światła o godzinie dwunastej podług starego zegara, bo żegnamy rok stary i właśnie w tej chwili ten rok się kończy. Mieli racyę... Lecz inni twierdzili słusznie, że właściwie witamy rok stary, a że ten się zaczyna o godzinie 12 ej wedle czasu śr. eur pejskiego, więc należy dopiero o tej nowej godzinie pogasić światła. Największą słuszność przyznać należy tym, których zdaniem należało na 36 minut pogasić wszystkie światła (kawiarnia amerykańska), ażeby ludzie mieli wyraźną tj. ciemną granicę między starym rokiem a nowym i podczas tych ciemnych trzydziestu sześciu minut nażyczyli sobie i nagadali wszystko, co mają na wątrobie.

Szkoda, że tych ostatnich zdania nie usłuchano. Życzenia byłyby wypadły o wiele szczerzej... Ale w kawiarniach naszych było jasno a życzenia w oświetlającem świetle gazu i elektryki połyskiwały jak fałszywe brylanty...

Równocześnie w kilku miejscach tańczono w maskach i bez masek. U ocze danserki umizgały się do zgrabnych danserów, pary rozgwarzone robią miłość, flirt, mamy i ciotki przesypiają pod ścianami najważniejszą chwilę sylwestrowego przesilenia...

Jak miłym jest sam akt uroczysty i podniosłym w rastronu, tak smutnym i przykrym jest powrót, zwłaszcza gdy kawalerski mróz trzaskający wydaje wojnę wszystkim końcom powracających do domu, powracających sylwestrowo usposobionych nosów. A jaki ten powrót bogaty w urozmaicenia, jaki ciekawy nawet dla psychologii, dla anatomii, dla specyalisty chorób wewnętrznych i innych specyalistów innych chorób... Ktoby to spisał?

Lecz za wszystkie trudy nocy sylwestrowej czekała nas nagroda. Oto poranek noworoczny przekonał nas, ilu mamy życzliwych i szczerych przyjaciół, którzy nas lubią i o nas pamiętają...

Pierwszy naturalnie zjawił się w mojem mieszkaniu dozorca domu, przesyłając mi przez służącą drukowany dokument z illustracyą, z którego dowiedziałem się nie bez zdumienia, że należy on do najżyczliwszych moich przyjaciół i pragnie tylko mojego dobra. To ostatnie zrozumiałem najlepiej i wyjąwszy z mojego dobra dwie korony, zapłaciłem mojemu przyjacielowi za życzliwość.

Zaraz po nim zjawił się dyrektor kominów mojego mieszkania. Tym gościem ucieszyłem się naprawdę. Kilkanaście razy zapraszałem go, wzywałem i zachęcałem w najgrzeczniejszy sposób, ażeby przyszedł wyleczyć nasze kominy i nasze piece, które wypełniają mi mieszkanie dymem, ale nie przychodził... Nie było go widać... Konia z rzędem za kominiarza — wołałem przez trzy miesiące i nie było kandydata na konia... Dziś rano radośnie wyskoczyłem z łóżka, kiedy mi służąca zaanonsowała przybycie kominiarza. Zapomniałem, że to poranek noworoczny. Lecz zdziwiłem się wielce, kiedy zamiast czarnego kominiarza ujrzałem przed sobą wyelegantowanego faceta z drukowanym dokumentem w ręku. Aha! Zrozumiałem od razu... Wziął dwie korony bez pokwitowania odbioru i znikł jak kamfora kiedym mu zaczął ze łzami w oczach opowiadać o moich piecach. Uciekł przed dymem...

Po nim przyszedł listonosz. Zdziwiłem się, gdy mi oddał całą paczkę noworocznych biletów a nie oddał ważnego listu, którego spodziewałem się na pewne. Spytałem go więc, czy nie ma jeszcze różowego listu.

— A to... proszę pana, jest — ale przyniesie go drugi o 11 ej drugą pocztą.

— Aha..

Rzeczywiście przyniósł go drugi. Podzielili się hultaje, aby mieli sposobność do złożenia mi życzeń.

Dalej przyszedł kolporter gazeciarski, piaskarz, praczka, mleczarz, egzekutor podatkowy, który przez cały rok ma u mnie dużo do roboty, sługa kancelaryjny, potem dozorczyni osobno, która, jak mi to wytłómaczyła — z mężem wprawdzie żyje, mieszka i kocha się, ale co do dochodów prowadzi podwójną buchalteryę i osobne księgi, wreszcie zjawił się jakiś kudłaty dryblas, którego przedtem nigdy nie widziałem.

— Z kimże honor?

— A ja przyszedł powinszować panu szczęśliwego, fajnego roku i dużo szczęścia i pieniędzy...

— Dziękuję, ale ja was nie znam...

— To co to szkodzi proszę pana, ta ja mogę powinszować mimo tego...

Wetknąłem mu 20-halerzówkę w ogromną łapę i zamknąłem za nim drzwi. Na schodach oczekiwał go kolega.

— Co dał? — pyta kolega.

— Szóstkę, i to więcej pytał jak sędzia...

— Zobaczy on nas drugi raz — odparł na to kolega — i za tę szóstkę warto mu przez cały rok grać na kataryncе?

— — — — — — — — — — — — — —

Z wypróżnioną kieszenią, ale za to z wezbranem sercem rozpoczęliśmy tedy nowy rok.

Ca kiem niespodzianie czas środkowo-europejski, na który czekaliśmy i cieszyliśmy się, znalazł dwóch ciężkich wrogów. Oboj w tymsamym numerze jednego z tutejszych dzienników wysunęli z żalami. Z tych pierwszy potępia wogóle tę nowość, drugi tylko ze względu na teatr. Pierwszy z tych panów żali się, że nowy czas będzie nieszczęściem dla ludzi, bo zrabuje im wiele ciepła, światła i życia. Między liniami wyczytać czy domyśleć się można, że autor tych żalów przewiduje koniec świata i wymarcie wszelkiego życia z powodu wprowadzenia czasu środkowo europejskiego... Ależ mój kochany panie pesymisto. Dobre strony tej nowości już podnoszono niejednokrotnie, złych stron nie dowiedziano, bo nikt ich nie szukał, nie podnosił, nie wyrywał się jak pan Filip... Przecież rada miejska uchwaliła tylko wskazówki przesunąć, nic więcej... A wolno każdemu urzędowi swój czas urzędowania unormować w ten sposób, ażeby urzędnikom zostawić światła nie tylko tyle co dawniej, ale nawet więcej. Ta rachuba z połówkami godzin (przy pewnej wprawie w matematyce wyższej) nie jest znów tak trudna, jak to pan żali się przedstawia a dla tych urzędów, gdzie urzędnicy z rachowaniem są na bakier, można przesunąć godzinę urzędowania zamiast o 36 minut naprzód, tylko o 24 minut wstecz i będą całe godziny. Więc radzę panu zamiast jak dotąd o 9 tej według starego zegara rozpoczynać urzędowanie o 8 według nowego czasu, na czem zyskasz pan 24 minut światła, powietrza itp. więcej, aniżeli dotychczas. Czy jesteś pan uratowany?

Z drugim jest trudniejsza sprawa. Ten zaraz po powyższych skargach, jakby na ich ukoronowanie, drukuje bez zająknienia następujące obliczenie:

„Czas środkowo-europejski i teatr.

Wraz z opóźnieniem naszych zegarów o 36 minut, powinienby i teatr zmienić godziny rozpoczęcia przedstawień. Jeśli bowiem na afiszach po dawnemu zostanie godzina 7, faktycznie przedstawienia zaczynać się będą o godzinie 6 m 24, a to już stanowczo zawcześnie."

Ten już absolutnie nie zrozumiał doniosłości tej nowości, bo zdawało mu się, że wskazówki posunięto naprzód o 36 minut! Tobym mu jednak wybaczył, gdyby nie jego własne powiedzenie na wstępie: „wraz z **opóźnieniem** naszych zegarów"... I tak rachuje człowiek, który ma aż dwadzieścia palców! Faktycznie urwał on teatrowi godzinę i 12 minut bo nie o 6 m. 24 ale o 7 m. 36 rozpoczynać się będą przedstawienia według dawnej rachuby. Ten człowiek, który zdefraudował karygodnie 70 i kilka minut, powinien być pociągnięty do odpowiedzialności za szerzenie fałszywych a niepokojących pogłosek...

Kiedy już mówię o nowym czasie warto wspomnieć, że wszystkie zegary zastosowały się do tego czasu z wyjątkiem bernardyńskiego. Ten wprawdzie uznał 36 minutowe spóźnienie, ale — według swego dawnego czasu, a że przedtem w stosunku do zegara miejskiego spieszył o 7 minut, więc „dla zasady" i teraz o 7 minut wcześniej bije każdą godzinę. Nie ma to, jak być konsekwentnym. Dlaczego OO. Bernardyni cierpią stale na ową nieuleczalną siedmiominutową biegunkę, tego nie umie nikt wytłómaczyć.

Lecz już zostawiam wszystkie zegary a spieszę Wam donieść o innej nowości, jaką wprowadził magistrat jako podarek noworoczny dla swoich podatników. Oto egzekutorowie miejscy odtąd zjawiać się będą u stron w strojach cywilnych celem przedsiębrania egzekucyj za zaległe podatki miejskie. Miło więc będzie odtąd powitać u siebie egzekutora, który niejako będzie tylko naszym gościem. Wszystko robi się u nas dla uprzyjemnienia bytu mieszkańców. Można sobie wyobrazić, z jaką przyjemnością oczekujemy teraz w domu cywilnych egzekutorów, którzy z dyskrecyą, niby kochankowie wkradający się do buduarów, wślizgną się do naszego mieszkania, przedstawią się, przedsięwezmą dyskretnie egzekucyę, a ktoś, co będzie w drugim pokoju, będzie mógł wmówić, że to jakiś gość, przyjaciel składa nam chwilową wizytę. U nas wszystko z elegancyą... Maluczko, a będziemy takim małym Paryżem.

Wtedy dopiero będzie miało racyę bytu nowo zawiązane Towarzystwo popierania ruchu obcych, którego zadaniem jest ożywić frekwencyę turystów ciekawych poznać stolicę nad wonną Pełtwią i jej cenniejsze osobliwości. W interesie właściwym powinniśmy może raczej starać się osłabić tę frekwencyę, jak długo stoi w samem sercu miasta kryminał krajowej Dyrekcyi skarbu, jak długo nie zburzymy ratusza, i kiwającego się uniwersytetu, jak długo nie zrównamy z ziemią całej dzielnicy grodecko-krakowsko-żółkiewskiej i jak długo nie nauczymy tylu, tylu naszych współobywateli różnego wieku, wyznania i płci, konieczności używania mydła.

Mydlików, mydlarzy — mamy wielu, ale mydło używa się u nas wzruszająco mało. A dopiero tem, potem, ale długo potem przyda nam się Towarzystwo ku popieraniu ruchu obcych. Dziś bowiem kto z obcych wdepnie do Lwowa, bynajmniej nie z ciekawości, ale z prostej konieczności, ten po wielu doświadczeniach czmycha prędko a po długiem życiu umierając w testamencie pozostawia przestrogę dla swoich potomków i spadkobierców: „Unikajcie Lwowa — jeśli nie chcecie zmarnować zdrowia i mojego spadku".

Zadaniem Towarzystwa popierania ruchu obcych powinno być — mojem skromnem zdaniem — przestrzeganie obcych przed drożyzną we Lwowie, popieranie ruchu emigracyjnego, ażeby tym, którzy już wdepnęli i nie mogą się stąd wydostać, ułatwić ucieczkę przed nędzą i śmiercią głodową, wywieszenia straszydła na dworcu kolejowym z symbolicznem przedstawieniem lwowskich przyjemności i cennika hoteli, mieszkań i artykułów żywności.

Proszę się nad tem zastanowić. *Klewe.*

Kącik humorystyczny

Kucharka i ryba.

(Bajka świąteczna).

Pod wieczór wigilijny
Przed Narodzeniem Bożem,
Raz ryba się znalazła
Ze stawu — wprost pod nożem.

Więc rzekła do kucharki
Na śmiałość wziąwszy sobie:
„A niechże mnie panienka
Choć delikatniej skrobie!"

„To nic! — kucharka rzecze
Powinnaś być kontenta,
Pamiętaj i ty przecie
Że raz na rok są święta!"

Kr



Tylly Koenen.

Przed kilku laty pojawiło się na liście najwybitniejszych śpiewaczek estradowych Europy, nazwisko Tylly Koenen (czyta się Kulmen) i odrazu zaświeciło na horyzoncie świata muzyczno-śpiewaczego — jasnym i silnym blaskiem pierwszorzędnego talentu. Osoba śpiewaczki — o wspaniałej iście majestatycznej postaci, pełnej wytwornego wdzięku i nienarzucającej się elegancyi kobiecej, o ruchach spokojnych i harmonijnych, o pięknej, ruchliwej po aktorsku, twarzy zdobnej w parę inteligentnych, rozumnie patrzących oczu — stała się, nietylko z niekłamaną przyjemnością słuchanem, lecz także i mile widzianem i niezwykłem zjawiskiem estradowem. Pierwszorzędne agencye koncertowe całej Europy rozbijały się o śpiewaczkę, której sława z siłą lawiny rosła w miarę produkcyi dawanych w Berlinie, Dreźnie, Paryżu, Londynie, Wiedniu i t. d., a o której rozpisywali się z wielkiemi pochwałami na ton więcej jak entuzyastyczny — najsroższi i najniedostępniejsi krytycy metropolij muzycznych. U nas, nazwisko Tylly Koenen znane było tylko z tych recenzyj — osoba zaś z licznych bardzo podobizn w niemieckich i francuskich pismach muzycznych. Za dni kilka zapoznamy się z dźwiękiem fenomenalnego jej głosu. Zanim jednak ta chwila nastąpi, zanim stwierdzimy wysoki dźwięk sarm sławiących jej talent — nieobojętną będzie dla naszych melomanów wiadomość, iż znakomita artystka, jakkolwiek należy do cór narodu, który wydał Rubensów, Van Dyków, Erazmów itd., jest z urodzenia właściwie... Jawaiką... ujrzała bowiem światło dzienne w miejscowości Salatigi na wyspie Jawie, gdzie jej ojciec jako pułkownik kawaleryi był komendantem i wojskowym naczelnikiem tej kolonii. Mała Tylly kołysana do snu smętnemi nutami piosnek jawajskich zdradzała wielką, nad wiek rozwiniętą muzykalność. To też kiedy jako ośmioletnia dziewczynka przybyła do Europy — dokąd przeniesiono jej ojca, który osiedlił się w holenderskiem miasteczku Apeldorn — rozpoczęto ją uczyć z razu gry fortepianowej. W dziesięć lat później zdobywa już ośmnastoletnia panienka dyplom honorowy za grę fortepianową w konserwatoryum w Haadze. Karyera pięknej i pięknie rozwiniętej panienki była zdecydowaną, bo urocza Tylly miała rozpocząć karyerę pianistki. Gdy jednak do rozpoczęcia sezonu brakowało aż pięć miesięcy — postanowiła zapoznać się w międzyczasie ze studyami wokalnemi, przypuszczając, iż w ciągu karyery solistki trzeba będzie nieraz zaakompaniować. W Breda, gdzie spędzała wakacye, udała się do pani van Haften. Ta odkryła w pianistce pierwszorzędny talent śpiewacki. Zamiast na estradę — podążyła pianistka do konserwatoryum w Amsterdamie, gdzie pobierała naukę słynnej maestriny Kornelii van Zanten. W Amsterdamie wystąpiła też po raz pierwszy. Życzliwie przyjęta, zdobyła sobie najpierw uznanie i serca swych współziomków, poczem odbyła parę próbnych wycieczek do Brukseli, Berlina, Drezna i w krótkim przeciągu czasu ugruntowała swą sławę.


Tylly Koenen.

Każdy jej występ przynosił jej zawsze laury, po każdym zyskiwała sobie coraz większe uznanie surowej zazwyczaj krytyki i publiczności.

Tylly Koenen jest jedną z tych, w dziedzinie sztuki rzadko spotykanych postaci, którą opromienia talent we wszystkich jego przejawach. Poza olbrzymią muzykalnością, objawiającą się nietylko w postaci pierwszorzędnego talentu śpiewackiego, a zatem reprodukcyjnego — jest ona ulubioną w Holandyi kompozytorką piosnek i utworów fortepianowych — a nadto cenioną także... malarką, mogącą się nawet pochlubić kilku medalami, zdobytymi na wystawach krajowych za pełne poezyi prace pastelowe — a podobno także kunszt tworzenia przy sztalugach rzeźbiarskich nie jest jej obcy.

—urs.—

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

(Ciąg dalszy).

— Niema wątpliwości, że musimy jeszcze raz zająć się tą sprawą, ale obawiam się, że nasze zabiegi będą bezskuteczne, póki najważniejszy ptaszek hula sobie swobodnie w Ameryce. Mnie nie zabraknie jednak na dobrych chęciach i zrobię wszystko, co jest możliwe, aby zdemaskować łotrów, a jak sądzę i dyre tor nasz użyczy panu chętnie pomocy w takich okolicznościach..

— Dziękuję za te obietnice, panie komisarzu — rzekł młody inżynier — niczego więcej nie spodziewałem się i nie pragnąłem. Ale ponieważ dla tej sprawy tu przybyłem, ponieważ ona bardzo leży mi na sercu, proszę, aby i mnie było wolno działać na własną rękę. Może zaś pan być przekonany, że ja s[illegible] nie pokpię!...

— Hm.. hm... - zawahał się chwilę urzędnik — doprawdy nie wiem, jak mam rozumieć to pańskie życzenie?

— Całkiem po prostu! Ja nie chcę, aby mi władza dała upoważnienie na wyszpiegowanie w jej imieniu! Bynajmniej! pragnę tylko dowiedzieć się o szczegółach pierwszego śledztwa i o osobach, z któremi stykał się mój nieszczęśliwy przyjaciel!

Komisarz spełnił życzenie Amerykanina, kazał przynieść odnośne akty i sam pomagał mu je przeglądać.

— Widzi pan, panie inżynierze — dodał przytem — że tu nie mamy nic, coby uprawniało nas do wznowienia śledztwa. Wprawdzie trudno zamilczeć, że jedna, jedyna osoba, którą będzie trzeba teraz zbadać, restaurator Stefan Klaus, jest indywiduum bardzo podejrzanem i zdolnym do każdej zbrodni, ale wątpię, czy będziemy w stanie wydobyć coś z niego!...

— Ja nie myślę dawać rad panu komisarzowi, ale gdyby mi było wolno wypowiedzieć swe zdanie —

— Proszę pana bardzo o to, panie Archer! Pan bardzo zdrowo i bystro zapatrujesz się na wszystko!

— Otóż prosiłbym pana, żeby pan na razie dał spokój temu szynkarzowi i przedewszystkiem zajął się moralnymi sprawcami zbrodni, a zwłaszcza owym panem Franciszkiem Springerem i tym tajemniczym doktorem, którego trzeba będzie dopiero wyszukać. Ci są najchytrzejsi i najniebezpieczniejsi, należy więc na nich uważać i strzedz się przytem, aby zawcześnie nie zwąchali pisma nosem!

— Tu ma pan zupełną słuszność! Ale wspominał pan, że zamierzasz podjąć coś na własną rękę, czy możnaby więc poznać te zamiary?

— Ja z mej strony postaram się w zręczny sposób zapoznać z panem Stefanem Klausem i mam nadzieję, że to nam wyjdzie na dobre!...

— Nie mam nic przeciwko temu, ale radzę szczerze, by ś pan nader ostrożny, bo Klaus, to dyablo chytra sztuka. Lecz wiem, że na panu można polegać. A więc życzę szczęścia i do widzenia, mój amerykański kolego!...

Na tropie.

Młody Amerykanin szedł śmiało do celu. Jeszcze tego samego dnia popołudniu z trudem odszukał szynkownię Stefana Klausa i zdziwił się, że pierwsze śledztwo w sprawie śmierci Rudolfa Springera prowadzono z tak widocznym brakiem sumienności, z takiem jawnem lekceważeniem sprawy! Czyż można było przypuścić, aby obcy przybysz, któryby zabłąkał się w nocy, miał odwagę zapuścić się w te zaułki, złożone z drobnych ulic i uliczek, gdzie nawet w biały dzień, nieznający miasta, musiałby sto razy zabłądzić! Szynk Klausa w niczem nie różnił się od innych, licznych w tej okolicy, szynkowni, w których maj[illegible] ... i robotnicy portowi szukali spoczynku i rozrywki. Niskie drzwi wprost z ulicy prowadziły do głównej izby, w której, pomimo wczesnej godziny, było już pełno gości. Atmosfera, cała przesiąknięta tytoniowym dymem, swę em krótkich marynarski h fajeczek, wyziewami potu ludzkiego i odorem trunków, musiała oszołomić każdego, nieprzyzwyczajonego do takiego powietrza. Przy brudnych stołach siedziały olbrzymie postacie marynarzy i robotników, a za szynkfasem, na którym stał ogromny, dymiący kocioł parowy, z niezbyt wytwornymi i apetycznymi przysmakami, stał mężczyzna herkulesowej budowy, mogący liczyć pięćdziesiąt lat najwyżej, bez marynarki, z zawiniętemi rękawami od koszuli, z pod których wyglądały muskularne ręce zawodowego siłacza. Myśl stoczenia walki z tym olbrzymem, musiała być bardzo nieprzyjemną, skoro Stefan Klaus umiał sobie zdobyć szacunek nawet wśród najhardziej nieokrzesanych gości i skoro jego interwencya przy jakiejś bitce lub kłótni, doprowadziła, jeśli już nie do zgody, to przynajmniej do chwilowego zawieszenia broni.

Gdy Archer wszedł do szynku, ucichły wszystkie rozmowy. Ale spojrzenia, jakiemi go uraczono, nie można było żadną miarą uważać za przyjazne, bo towarzystwo, zebrane w takich spelunkach, nie lubi, aby ktoś z obcej sfery podglądał jego zabawy i rozrywki.

Archer wiedział o tem i był z góry przygotowany na to. Udał więc, że nie spostrzega nawet groźnej postawy całego towarzystwa, lecz głośno pozdrowił wszystkich po angielsku i z takim spokojem siadł sobie przy jednym ze stołów, że dwóch siedzących tam marynarzy angielskich, wymrugało coś na podziękowanie a gdy Archer spytał się, czy nie mógłby z kimś rozmówić się po angielsku, obaj z wesołą miną powiedzieli, że z gustem mogą mu służyć swoim towarzystwem.

Amerykanin kazał podać grogu i zaczął przypijać do majtków i do innych gości, którzy otoczyli stół jego wieńcem, a po chwili znikło uprzedzenie. Ko umiał po angielsku, ten trącał się i pił z Archerem, a inni goście powrócili do gry w karty i kości.

Jeden tylko Stefan Klaus nieufnie spoglądał na nowego gościa. Rozkazy jego spełniał wprawdzie z pośpiechem, ale nie mieszał się do ogólnej rozmowy i zawsze stawał w takiem miejscu, aby mógł słyszeć każde słowo Archera.

Ale Archer nie silił się mówić po cichu. Owszem, w kwadrans później całe towarzystwo wiedziało, że jest Amerykaninem, który dorobiwszy się na handlu skór znacznego majątku, przybył do Europy, gdzie więcej podobają mu się proste maniery i obyczaje wilków morskich, niż układna etykieta i grzeczności miastowych gogusiów.

Gdy zaś młody inżynier przy końcu opowiadania o zdobytych bogactwach, rzucił na stół sztukę złotej monety amerykańskiej i krzyknął na gospodarza, aby każdego z obecnych ugościł według jego żądania, okrzyk radości rozległ się w całej szynkowni. Wszyscy cisnęli się do Amerykanina, każdy chciał wypić z nim braterstwo, a nawet Klaus stracił swą dotychczasową powściągliwość i łamaną angielszczyzną, wcale jednak zrozumiałą, zaczął rozmawiać z Archerem. A inżynier opowiadał, że dopiero wczoraj przybył do Hamburga i że naturalnie natychmiast pospieszył zwiedzić miasto. Widział dużo, ale nic tak znów nadzwyczajnego, lecz to chodzenie i jeżdżenie po mieście zmęczyło go tak okropnie, że wstąpił do szynkowni, bo myślał, że będą pustki w niej o tej porze i że gdzieś w kącie będzie mógł spocząć choć chwilę.

— Dlaczegóż mi pan zaraz o tem nie powiedział? — odezwał się Klaus z tą uniżonością, z jaką zawsze występował wobec rozmaitych gości, a która bynajmniej nie licowała z jego olbrzymią strukturą. — Tu obok, w mojem pomieszkaniu stoi sofa, na której możesz pan spać, choćby do jutra rana, jeśli panu tylko hałas nie przeszkodzi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

TOMBOLA.

HUMORESKA.

(Dokończenie)

— Nic.

— A czemuż w bieliźnie do mnie oknem włazisz?

Zamilkłem. Nie chciałem się przyznać do strachu. Niepodobna przecie powiedzieć, że ten obraz..,

— Wiesz... nie mogłem zasnąć...

— I ja także nie mogłem.

— No, tak, aleś ty krzyczał o jakimś kościotrupie z ogórkiem.

Józek połapał się.

— To ci się tylko zdawało.

— Ja sądziłem, że ten obraz...

— Daj pokój temu obrazowi. To arcydzieło.

— Olbrzymie arcydzieło. „Tygodnik ilustrowany“ nazwał go progiem Panteonu.

— „Kuryer poranny“ źródłem natchnienia dla pokoleń.

— Wspaniałe zjawisko.

— No, dobrze, ale dlaczegóż ty jesteś w koszuli?

— Bo...

— Wróć się do domu i idź spać.

Zastanowiłem się chwilę.

— Ja już spać nie będę.

— No więc ubierz się.

— Co? Ubrać się?

— Tak jest, ubierz się. Pójdziemy razem do Mauricigo.

— Nie pójdziemy, bo jego niema.

— Gdzie on jest?

— Gdy po obejrzeniu obrazu od ciebie wyszedł, dostał pomieszania zmysłów. Wydaje mu się, że on jest rybą i że ma w rękach ogórek...

* * *

Do domu oczywiście nie wróciłem. Ubranie z Józka było na mnie za małe. Ale to bagatela. Krawiec mój pożyczył mi wizytowego ubrania. Ubrałem się i zamieszkałem w hotelu. Bo do domu nawet we dnie iść nie chciałem. Trzymałem się z daleka nawet od dzielnicy, w której jest mój dom. Chodziłem dookoła przedmieściami. Ponieważ zbliżała się chwila losowania tomboli, wynająłem dwóch chłopów. Nie chwaląc się, zawsze byłem filantropem. Prowadzę więc chłopów do doktora:

— Niech pan konsyliarz będzie tak łaskaw zbadać ich stan serca. Honoraryum ja płacę.

— A to poco mam badać?

— Bo wysyłam ich w straszliwej misyi.

— Mordować kogo będą?

— Nie. Oni idą po obraz.

* * *

Zbliżył się wieczór. Na sali umieściłem się w takiem miejscu, skąd nie widać obrazu. Choć kupiłem kilkadziesiąt losów, nie wygrywał z nich ani jeden. Łzy mi w oczach stanęły, gdy wygraną cukiernicę brała aptekarzowa, a bronzową szkatułę ksiądz katecheta. Stoję, patrzę, jak ludzie najpiękniejsze fanty biorą. Ja nic i nic. Rozmyślam nad straszliwym pechem, który mi towarzyszy od kolebki do dziś dnia. Żeby jeden uśmiech losu, jeden promyk szczęścia! Żeby raz wygrać na loteryi, żeby raz gdzieś coś.. Przypominam sobie.. Płacę już dwadzieścia lat ubezpieczenie ogniowe i dom się nie pali, ten co ma szczęście i ubezpieczy się na życie, to go na drugi dzień apopleksya trafi. ja zaś sto lat żyć będę, żeby towarzystwo ubezpieczeń milionów się na mym pechu dorobiło. Jednak w sercu wstępuje nadzieja. Może się to poprawi. Może los położy kres. I dziś.. Może choć coś. choć jeden z ostatnich fantów wygram. Wszystkie numery już rzuciłem wylosowane, jeden pozostał mi numer, mam w ręku liczbę 245.

Piekło! Wazonik z kwitnącą azalią wygrał numer 244 a ramki na fotografię nr. 246. Ależ to wściekłość człowieka bierze. Słonia ryczącego trąbą wygrał numer 243, popielniczkę z talmi złota numer 247. Ja i moje 245 zawsze w środku! Przekleństwo!! Garnitur do czyszczenia paznokci wygrał numer 242, a kopertę z tuzinem papierów listowych numer 248. A ja stoję z numerem 245 w ręku, krew wre we mnie, wściekłością ostatnią kipi!.

Hałas na sali.

— Tombola! Tombola!!

— Obraz wygrany!

— Kto go wygrał?

— Numer 245.

Wypadłem na ulicę. Mniejsza z tem, czy dostanę zapalenia płuc, czy nie dostanę. Mnie, wydziedziczonemu przez los, już wszystko obojętne. Lecę na kolej.

— Dokąd dać bilet?

— Do Hawru.

— Pan zatem jedziesz?

— Do Ameryki.

Jadę, jeśli dojadę O! Bo jeśli w pociągu się zjawi kościotrup z ogórkiem...

KONIEC.

Zadziwiająca tresura w cyrku Sarrasani.

Barnum et Bayley, mistrz reklamy, posługiwał się zasadą: „Staraj się wszelkiemi siłami zapełnić twą budę ludźmi, a gdy tego dokonasz, wówczas obowiązkiem twoim jest postarać się o okazanie im czegoś niezwykłego“. Tą zasadą kierował się również cyrk Sarrasani, który w pierwsze święto Bożego narodzenia 25 grudnia dał dwa inauguracyjne przedstawienia. Publiczność miała też sposobność zachwycać się nowościami sięgającemi w dziedzinę artyzmu; cyrk posiada też własną orkiestrę, która tak podczas przedstawień. jakoteż i podczas pauz przygrywa. Produkcye dyrektora Sarrasani z dwoma amerykańskimi rumakami wprawiają widzów w zdumienie. Podziwu godnym jest też mądry „Hans“ i nieprześcigniony tresurą słoń— ozdoby stajni cyrkowej. Zgodnie stoją obok siebie w stajni, jak dwaj bracia „Mutz“ i „August“; dwoje tych zwierząt nigdy jeszcze ze sobą nie walczyło, jedyny wyjątek stanowi arena. Nikomu one krzywdy nieuczyniły, a nawet dziecko mogłoby bez szkody dla siebie obok nich w stajni przebywać. Inaczej jednak ma się rzecz na przedstawieniu: uwolnione od siodła i uprzęży, a nawet bez trensli, stają z zuchwałem rżeniem i z trudem zaledwie trzech lub czterech stajennych zdoła je utrzymać. Głęboka cisza zalega widownię naokół. W tem dyrektor wypowiada krótko „*En avanti*“ i pełne ognia rumaki wpadają na siebie, stoją chwilę naprzeciw siebie, a następnie wspierając się na tylnych nogach rozpoczynają walkę bokserską, jakiej nie powstydziłby się pierwszorzędny szampion angielski. Zapasy tych zwierząt budzą sensacyę wśród publiczności. Po skończeniu się tej produkcyi Mutz“ i „August“ dziękują widzom za skierowaną na nich uwagę, a uczyniwszy zgrabny ukłon z szybkością strzały wlatują do stajni, poczem rozlegają się niemilknące salwy oklasków.

I znów występują pierwszorzędni artyści ze swemi niezrównanemi produkcyami.

Wogóle pierwsze przedstawienia cyrku Sarrasani'ego trafiły na obecnej publiczności dodatnie wrażenie.

Zagadki do nagrody.

Zagadka.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki czytane w pionowym kierunku utworzyły zdanie często się obecnie powtarzające.

*
O * O
O O O * O O O
O O O O * O O O O
O O O * O O O
O O * O O
O O * O O
O O O O * O O O O
O O O * O O O
O O * O O
O * O
O O O * O O O
O * O
*
O O * O O
O O O O * O O O O
O O O O O * O O O O O
O O O O * O O O O

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska. 2 Prezydent jednego z większych miast Galicyi. 3. Najsłynniejszy powieściopisarz rosyjski. 4. Słynny poeta rosyjski 5. Miejscowość z „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza. 6. Miejscowości często spotykane na Ukrainie. 7. Kraj należący do Austryi. 8. Bohater z powieści Żeromskiego p. t.: Popioły“. 9. Minister rosyjski. 10. Część wagi. 11. Imię żeńskie. 12. Najstarsze miasto polskie. 13. Tytuł dostojnika tureckiego 14. Samogłoska. 15. Wynalazca telegrafu. 16. Tytuł dzieła Przybyszewskiego. 17. Dyrektor jednego z teatrów polskich. 18. Sławny polski kompozytor.

Szarada.

Pierwsze, drugie — znak choroby —
Medycyna zna sposoby,
By przez dobre kurowanie
Stały ulgę przynieść na nie.
A następstwem *pierwszych, drugich*
To w bezsennych nocach długich
Trzecie, pierwsze z piątem razem,
Ale żeńskim są wyrazem.
Drugie, czwarte, piąte — dani
W służbę Bogu są kapłani,
Mieli ich wyłącznie zydzi.
Pierwsze, piąte — każdy widzi,
Że to imię bohatera,
Który współrodaków zbiera,
By w swym czasie wieść zawzięcie
Bój w dalekim kontynencie,
Lecz daremne rany, blizny
Nie ocalił już Ojczyzny.
Całość — słynny to pseudonim
Nawet dzieci wiedzą o nim,
Uczony jak dziś mało który
Mestor to literatury!

Kącik humorystyczny.

Złote serduszko.

Kochanka moja — wierzcie mi
Prawdziwa cud-dziewica,
Jej urok z każdym niemal dniem
Wciąż bardziej mnie zachwyca.
Ur da jej — to wdzięków zbiór
W niewieści czar zaklęty,
Jej ząbki — to perełki są,
A oczka — dyamenty!
Usteczka wykrojone zaś
Z pąsowych róż rozkwicie,
Serduszko prz te złote ma,
Na szyjce mianowicie...

Krk.

Głosy publiczności.

Czytamy w „Przeglądzie lekarskim“ z dnia 25 listopada 1905:

Pan Stanisław Gurgul, właściciel fabryki biszkoptów i pierników w Jarosławiu zobowiązał się nalepić znaczki jednohalerzowe na paczkach z mączką odżywczą swego wyrobu. Wydział Towarzystwa składa p. Gurgulowi za wspomaganie funduszu dla niezaopatrzonych wdów i sierót po lekarzach, podziękowanie i wzywa kolegów, by mączkę odżywczą wyrobu krajowego popierać zechcieli, tem bardziej, że według badania chemicznego mączka ta w niczem nie ustępuje podobym fabrykatom zagranicznych firm, które kraj nasz nimi zasypują.

Kraków, 14 listopada 1905.

Sekretarz: Dr. Lange.
Prezes: Dr. H. Jordan.